№ 42. Warszawa, dnia 18 (6) Października 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

„LEX KWICZAŁA."

Sądzimy, że w tajemnej rozmowie z własną myślą nawet przywódca centralistów austryackich nie bierze za złe czechom ich wytrwałego postępu w odzyskiwaniu utraconych praw. Myśliwy strzela do bawołu, ale nie dziwi się, gdy bawoł życia swego broni. Tyle już razy u nas wychwalano umiejętność czechów w prowadzeniu walki, że nie sławiąc ogólnie tej ich cnoty, zastanowimy się nad ostatnim jej objawem — nad projektem Kwiczały do prawa szkolnego.

Oto główny wątek ustawy:

§. 1. W gminach, gdzie się znajdują publiczne i prywatne szkoły ludowe z czeskim językiem wykładowym i szkoły z niemieckim, dzieci mogą być przyjęte tylko do tej, której język wykładowy rozumieją; również w gminach, gdzie istnieją czeskie i niemieckie zakłady dla wychowania i nauki takich dzieci, które jeszcze nie są obowiązane uczęszczać do szkół, mogą być te dzieci tylko do takich zakładów przyjmowane, których język rozumieją i tylko w nich do nauki szkolnej mogą być przygotowywane.

§. 2. Od tej reguły wyjęto zostaną po ukończeniu czwartego roku szkolnego z dobrym postępem te dzieci, których rodzice lub opiekunowie z ważnych powodów potrzebę wyjątku udowodnią. Odnośne podania załatwia Rada szkolna miejscowa bez odwołania.

§. 3. Jeśli w gminie znajduje się tylko jedna szkoła ludowa z jednym językiem wykładowym, a okaże się tam dostateczna liczba uczniów obowiązanych do uczęszczania do szkoły, a nierozumiejących tego języka wykładowego, w takim razie ma tam być założoną druga szkoła z drugim językiem krajowym, jako wykładowym.

§. 4. Jeśli w gminie przebywa taka liczba czeskich lub niemieckich uczniów, która nie wystarcza do założenia ani czeskiej, ani niemieckiej szkoły, natenczas skoro liczba dzieci posiadających jeden lub drugi język krajowy wynosi najmniej 20, winna być zaprowadzoną półdniowa nauka w ten sposób, że przed południem mają pobierać ją uczniowie posiadający jeden język krajowy, a po południu uczniowie posiadający drugi język krajowy.

Ile razy idzie o szkołę i jej język wykładowy, zawsze „nie wiadomo czy wniosek stanie jeszcze w tej sesyi sejmowej." Takie nieprzyjemne sprawy spycha się jak najdłużej z porządku dziennego i wprowadza aż wtedy, gdy już ich w kozie utrzymać nie można. „Lex Kwiczała" również poczeka prawdopodobnie do chwili, w której polityczni chirurgowie nabiorą odwagi do upuszczenia mu krwi. Operacyą tą zajmą się przedewszystkiem „posłowie z własności większej," którzy dla żądań narodowo-czeskich mają zawsze w pogotowiu gniewny grymas a dla niemieckich—przyjacielski uśmiech. Przewidując ten opór, młodo-czesi, stronnictwo niechcące się liczyć z tchórzliwą lub służalczą teoryą „trudnych warunków," nalega na postawienie wniosku i wyzywa notablów do wyświęcenia raz wreszcie swych atutów politycznych.

Pod murami szkół i kościołów toczą się zawsze boje najzaciętsze. Dla takich bojów konstytucya austryacka otwiera szerokie pole. Po zdobyciu zaś najwyższej pozycyi w zakresie oświaty dla języka rodzimego—uniwersytetu, wniosek Kwiczały jest już tylko dalszem zastosowaniem raz uznanej zasady, a przeprowadzenie go może być tylko kwestyą czasu. Z drugiej wszakże strony nie należy zamykać oczu na trudności, jakie mu się przeciwstawiają. Główna bowiem zapora dla narodowego rozwoju Czech tkwi w pomieszaniu się dwu nieżawistnych sobie żywiołów, przerastających się wzajem i dotąd nierozdzielnych. Te same pretensye, które podnoszą czesi, podnoszą również głęboko w kraj wkorzenieni niemcy, a mają oni zbyt szerokie oparcie w państwie i po za jego granicami, ażeby do ustępstw nakłonić się dali. Wszelki zaś zatarg przed trybunałem t. z. „praw historycznych" nigdy i nigdzie się nie rozstrzygnął i co najwyżej rozpalił namiętności. Niema bowiem takiego narodu, któryby dowiódł, że on na ziemi, którą zamieszkuje, osiadł pierwszy, a najpierwotniejszy zabór daje późniejszym uzasadnienie, zwłaszcza w procesach międzynarodowych, po nad którymi etyce idealnej wolno jedynie unosić się na skrzydłach bardzo wysoko. Gdzie ludność stanowi masę jednolitą, to gordyjskie węzły mogą być rozwiązane; gdzie jest mieszaniną — mogą być tylko rozcięte. Wtedy już decyduje wyłącznie siła. Czy taką siłę w obecnym wypadku mieć będą czesi? Ostrożność pozwala wątpić, ale doświadczenie każe wierzyć. Krzepki ten naród zrobił światu wiele niespodzianek i ujawnił swą moc nieraz tam, gdzie jej nikt nie przewidywał.

TOWARZYSTWO KREDYTOWE

dla miast.

Ciągle upadająca i od lat dziesięciu dźwigana sprawa towarzystwa, czy też towarzystw kredytowych dla miast, zmartwychwstała znowu, dzięki odpowiedzi ministeryalnej na starania w tym przedmiocie podjęte. Jak wiadomo, wystąpiły dwa główne projekty: jeden żądał instytucyi samodzielnej, drugi — połączonej z istniejącą już ziemską. Otóż ministeryum wreszcie oświadczyło się przeciw drugiemu a *in potentia* za pierwszym. Wobec ściśle określonych granic, dalszy namysł wybierać może tylko między dwiema drogami: albo Towa-

rzystwo kredytowe miejskie dla wszystkich dziesięciu miast gubernialnych (z dołączeniem większych powiatowych: Częstochowa, Łódź, Włocławek itd.), albo dla każdego osobne. Ponieważ wszakże warunek ministeryalny zastrzega, że o instytucyę taką własną kusić się mogą tylko te miasta, których wartość szacunkowa budowli nie przedstawia sumy niższej od 3 milionów rubli, a których w Królestwie jest zaledwie cztery lub pięć, projekt więc zjednoczenia wszystkich posiada większą wagę.

Przypuściwszy nawet, że owo koło 3-milionowego szacunku rozszerza się dalej, niż można mniemać z obliczeń już przestarzałych, przy zasadzie samodzielności—pyta słusznie *Gazeta warszawska* — „jaka przyszłość czeka pozostałe miasta powiatowe i pomniejsze miasteczka? Wyłączone z kredytu miejskiego dla braku gotówki i handlowego rozwoju, nigdy nie byłyby w stanie dojść do jakiego takiego porządniejszego zabudowania się. Więc też naszem zdaniem, wiejska organizacya samodzielnych instytucyj dla każdego miasta nie jest tu zupełnie korzystna, raz już z powodów wyżej przytoczonych, powtóre, że przy małym stosunkowo obrocie pożyczek, a zatem i wysokości skonsolidowanego kapitału, wartość listów kredytowych miejskich nie mogłaby mieć nigdy odpowiedniego kursu i popupu. Związanie się zatem wszystkich miast dziesięciu gubernij, łącznie z większemi powiatowemi, w jedno samodzielne Towarzystwo, a następnie przyłączanie stopniowe do pewnych z góry określonych warunków miast powiatowych, wytworzyłoby instytucyę zdolną istnieć i rozwijać się, oraz kapitał taki, od którego wypuszczone listy mogłyby mieć swój własny kurs, niezależny od tysiącznych fluktuacyj giełdowo-handlowych. Dziwi nas tylko, że miesiąc już upływa od powyżej przytoczonego objaśnienia ministeryum, a nietylko Lublin, lecz i żadne z pozostałych miast nie dało znaku, by się tak ważną kwestyą szczerzej zainteresowało. Czyżby napływ kapitałów był tak wielki, że już kredyt miejski jest zbyteczny?“

Rzeczywiście, godną zastanowienia jest ta obojętność, z jaką miasta rozmyślają nad decyzyą ministeryalną, nie czyniąc żadnych starań w tej sprawie, która, jak się zdawało, zapełnia wszystkie ich marzenia. Czyżby to było zwykłe nasze omdlenie po każdym dłuższym wysiłku?

Teoretycznie—zjednoczenie miast przedstawia się nam korzystniej od rozstrzelenia kredytu na ogniska drobne; nie zabieraliśmy wszakże dotąd głosu w tej sprawie, sądząc, że zarządy miejskie w organach prasy, czy też w inny sposób, wypowiedzą swoje zdania, które byłyby bardzo pożądane. Tymczasem widzimy tylko jakąś apatyę, którą trudno pogodzić z tyloletnią ruchliwością. Na pismach prowincyonalnych spoczywa obowiązek wybadania swych municypalności i wogóle zajęcia się tą kwestyą. Byłoby to daleko właściwszem i użyteczniejszem, niż wywieszanie „sztandarów“ i rozstrzyganie sporu między liberalizmem a konserwatyzmem.

Z.

NOWY UNIWERSYTET W WIEDNIU.

Otwarcie nowego gmachu wszechnicy wiedeńskiej przybrało cechy niezwykłej uroczystości. Gmach ten wzniesiony został (przy placu ratuszowym) śród najokazalszych budowli nowoczesnych—ratusza, teatru, parlamentu, ministeryum sprawiedliwości itd.

Przybyłych gości powitali przedstawiciele rozmaitych stowarzyszeń studenckich, którzy jedynie zmieścili się w sali. Orszak urzędowy składali: arcyksiążęta Karol-Ludwik, Albrecht, Rainer i Wilhelm z adjutantami, minister spraw zagranicznych Kalnoky, prezes ministrów hr. Taaffe, wielki mistrz dworu książę Hohenlohe, minister oświecenia baron Konrad, minister wojny hr. Bylandt-Rheidt, baron Bauer, senat akademicki z rektorem Zschokke'm na czele, oraz prorektor z pedelami, niosącymi berła uniwersyteckie i ciała naukowe. O godzinie 2 przyjechał cesarz. Rektor, powitawszy monarchę, przedstawił mu członków Rady uniwersyteckiej. Seniorowie związków studenckich, około statuy Franciszka Józefa, ubranej kwiatami, wprowadzili go do sali. W środku jej stał stół, czerwonem suknem nakryty, a na nim akt fundacyi. Zgromadzeni już tu byli najwyżsi dostojnicy duchowni i świeccy oraz członkowie komitetu budowlanego. Przeszedłszy szpalerem studentów, cesarz zajął swoje miejsce, a wysłuchawszy mowy rektora, sławiącego zasługi Habsburgów dla uniwersytetu, rzekł:

„Cieszy mnie, iż ujrzałem dziś piękną siedzibę pierwszego zakładu wychowawczego w państwie, wzniesioną w sposób tak świetny i artystyczny. Oby młodzież, szukająca źródła wiedzy i podstawy przyszłego zawodu i szczęścia w życiu, znajdowała je tu zawsze w całej pełni, i oby wdzięczna pamięć o wielkich ofiarach, poniesionych dla tego pięknego siedliska wiedzy, umacniała ją w pracy około nauki i w miłości wspólnej ojczyzny! Dla serca mego prawdziwą będzie rozkoszą widzieć w postępie prawdziwej nauki i cnoty rękojmię szczęśliwej przyszłości, i chętnie w nadziei tej zapewniam zarówno profesorom jak i studentom uniwersytetu na wszystkie czasy szczególną mą opiekę i łaskę.“

Chóralny okrzyk: „niech żyje!“ był odpowiedzią na te słowa.

Minister oświaty złożył cesarzowi akt fundacyi uniwersytetu, na którym Franciszek Józef i arcyksiążęta położyli swoje podpisy. Studenckie stowarzyszenie śpiewaków wykonało umyślnie na ten cel ułożoną kantatę. Rozpoczął się wreszcie pochód po całym gmachu. Gdy cesarz wyszedł na podwórze, zgromadzeni tu studenci, po długich okrzykach, zaśpiewali *Gaudeamus igitur*. Tu kazał on sobie przedstawić ich delegatów, z którymi rozmawiał wesoło i przyjacielsko.

Cała ta uroczystość wywarła powszechnie bardzo sympatyczne wrażenie.

Z GALICYI.

Lwów, 4 października.

Łączność zjawisk atmosferycznych ze stanem instytucyj finansowych. — Nowa upadłość. — Związek towarzystw zaliczkowych.—Towarzystwa ochrony własności ziemskiej.—Klub posłów włościańskich.—Regulacye rzek.—Reforma szkolna. — Przemysł naftowy. — Drobniejsze rezolucye i wnioski. — Kawałek budżetu. — *Osvetou k volnosti!..*

Zimnym całunem swoim okrywał jeszcze śnieg gród nasz i okoliczne pola, gdy donio-

---

3)

Z NIZIN.

— Paneczko, sokole!... — raportował raz wystraszony gajowy — chłopy, co sianożęć dworską na trzeci stóg kosili, po kilka kóp może trawy świeżej ponabierali i wiozą z sobą do domu...

— Czemużeś, głupi, nie przejął ich wozów?

— A niech ich niemoc dotknie!... O mało mię nie zatłukli... Tak się odgrażali psie syny...

— Jaż im!... — przeszył powietrze zemstą dyszący okrzyk oficyalisty.

Siła jakaś magnetyczna pchała Nędzarskiego do tych „chamów“ upartych, prawu urągających. Nie spostrzegł nawet, jak biedna żona zbladła, niby chusta, i trzęsła się cała. Zęby zacisnął, a rumieńce gniewu zabarwiły mu policzki. Żona doń ręce wyciągała beznadziejnie, usta do modlitwy się ułożyły; słychać było wymawiane imiona świętych...

Patrzyła przez okno wystraszona z rękami do pacierza złożonemi i widziała wszystko. Drogą ciągnął długi szereg wozów, wysłanych trawą szmaragdową, z tyłu u każdego pobłyskiwała kosa, sterczały grabie. Na wozie każdym siedziało po dwóch lub po trzech chłopów o twarzach ogorzałych, spoconych, okolonych włosami w strąki zwitymi i brodach rozczochranych. Czapki na bakier, a z piersi śpiew mknie, oczy wroga szukają...

Zjawił się! Nędzarski był nim dla nich.

— Ej! chamy! Zawracać wozy!— syknął. Toć pańskie dobro, a wy je kradniecie? Sromu wam niema! W kozie będziecie siedzieć za samowolę!...

— A kto nas do niej zasadzi? — było pytanie, z parsknięciem zmieszane, jednej siermięgi.

— Czego ten Lach chce? — ozwała się druga siermięga.

— Nasze siano, krwawicę naszą, cośmy dzień cały kosili na spiekocie, chce nam do dworu zabrać! Ot, czego.

— A niedoczekanie! — chór huknął.

— Zachciało się panu!

— Febra go niech porwie!

Sypały się głosy pojedyncze.

— Jedźmy, bracia! Gromada — wielki człowiek! Co mamy stać daremnie? Czasu szkoda!... — zagrzewał herszt wioski.

— Zawracać! — zakomenderował Nędzarski.

— Patrzcie go, jaki sierdzisty!... — natrząsał się ktoś.

— Czego się tym Lachom chce od nas?

— Piotrze! Hołoble rąbać! (Zgrzytnął topór). Tak! Dobrze...

— Cóż to, panie! Dobytek nam rozpędzać, statek psuć!

— Ludzi mordować! — warknął któryś złowrogo, widząc strzelbę na plecach gajowego.

Rozległ się świst biczów, spadających na boki końskie. Twardszego ducha chłopi ruszyli. Tym, którym hołoble porąbano, wyrywały się straszne groźby z ust, obelżywo wyrazy, na Lacha i jego potomstwo:

— Bodajby ich ojców i matki trzęsło! Nie dajmy się bracia!... Co mają nami pomiatać?! Śmierć mu, kto się tknie wozu!— ryczeli, potrząsając pięściami zaciśniętemi.

Nędzarski, gdyby co chwila nie był z tyłu łapany przez dzieci, wpiłby się zębami w „chamów,“ wygrażających mu i lżących go. A czerwony jaki! Omało mu krew nie tryska z twarzy, powietrza w płuca nachwytać dość nie może, usta i ręce drżą z gniewu, pierś rozsadzającego.

A żona? Szlocha, ot, tam, utopiwszy biedną swą głowę w poduszkę, żeby nie widzieć już więcej i nie słyszeć okropnej sceny. Rozżala się sama przed sobą głośno a potęgi niebieskiej wzywa tylko. Szlochanie, ciągłe „kachu-kachu,“ pierś rwące, i utyski —ot dola jej. Matka jej także kiedyś zakłócała ciszę nocną pokoju suchem i ostrem „kachu-kachu,“ aż nareszcie od tego na cmentarzu podmiejskim legła...

słem wam o upadku jednej z najruchliwszych niegdyś instytucyj finansowych, jaką był tutaj swego czasu Bank włościański. Minęło parę miesięcy, śnieg znikł, pola okryły się zielenią i pączki róż rozwijać się właśnie miały, gdy pewnego prześlicznego poranku *Kuryer lwowski* zaalarmował publiczność wiadomością o zniknięciu dyrektora Kasy zaliczkowej. Nastąpiło rozwiązanie i likwidacya drugiego zakładu pieniężnego. Nie koniec na tem. Widocznie jest przeznaczeniem każdej pory roku znaczyć u nas pobyt swój zawichrzeniem w regionach złota i papierów. Zaledwie zaczęły liście żółknąć na drzewach, aliści ozwały się zaraz jakieś szumy niewyraźne. Słychać już dzisiaj lekkie trzeszczenie — czekajmy jeszcze chwilę, a *krach* Banku ruskiego (*Rilnyczo-kredytowe zawedenie*) sprezentuje się nam niebawem w całej swojej nagocie. I nie zakryją jej już figowe listki odmówionych pożyczek i ściągniętych należytości, bo strupieszałe wiązanie runąć musi, jak runęło na dwóch innych gmachach, wzniesionych kosztem krwi i potu najbiedniejszej ludności.

Wszystkie trzy wspomniane instytucye ssały soki żywotne, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie z klasy u nas najnieopatrzniejszej, z włościan. Sfery drobnego przemysłu i handlu czerpały z tej krynicy tylko w ostateczności, mając przeszło sto innych źródeł, w których kredyt jest znacznie tańszy. Są to towarzystwa zaliczkowe, rozrzucone po całej prowincyi, a połączone z sobą „Związkiem,“ instytucyą centralną, mającą siedzibę we Lwowie. Związek ten, posiadający osobny zarząd i patrona, broniącego interesów, zarówno wspólnych, jak i każdego szczególnego towarzystwa, ułatwia nabywanie większego kredytu z Kasy oszczędności i Banku krajowego, lustruje i porządkuje zjednoczone instytucye i niesie możliwą pomoc w każdym wypadku. Organ jego, wychodzący dwa razy na miesiąc, *Związek*, zdaje sprawę z ruchu wszystkich stowarzyszeń zaliczkowych i umieszcza artykuły, pouczające o umiejętnem prowodzeniu instytucyj finansowych.

W ostatnich dniach września odbył się tu właśnie zjazd delegatów coraz piękniej rozwijających się towarzystw, należących do „Związku,“ który stanowi dzisiaj niemałą już potęgę finansową. Liczą się z nim wszystkie instytucye, a Bank krajowy, chcąc rozwinąć działalność swoją na prowincyi, wszedł z nim w porozumienie, na mocy którego ustanowione zostaną przy towarzystwach zaliczkowych filie Banku. Zjazd, o którym wspomniałem, był wcale liczny, bo na 101 towarzystw, należących do Związku, przybyło 68 delegatów, przedstawiających 73 stowarzyszeń. Zdał na nim przedewszystkiem sprawę z czynności wr. 1883 patron, dr. Skałkowski, zaznaczając rozwój coraz pomyślniejszy, pomimo że upadek dwóch innych zakładów finansowych odbił się niekorzystnie także na działalności towarzystw związkowych. Obok cyfr z r. 1883 podane zostały z przed lat dziesięciu dla uwidocznienia postępu. I tak gdy w r. 1873 było stowarzyszeń zaliczkowych 77, liczba ich wynosiła w roku ubiegłym 221. Członków liczono 14,002—dziś 99,778. Udziały 737,244 złr. — obecnie 4,491,349, wogóle kapitał własny 780,016 złr. — dziś 4,976,117. Wkładki oszczędności 1,184,001, dziś—9,166,073, kredyt obcy 0 — obecnie 2,385,790. Pożyczek udzielono w roku 1874 w kwocie 1,858,585 — w r. ub. 15,792,651. Obrót kasowy wynosił przed dziesięciu laty 8,934,860 złr.—obecnie 109,648,894. Czysty zysk 61,232 — w r. ub. 387,158 złr. Do związku należało w r. 1874 towarzystw 21, obecnie 101. W ciągu całego dziesięciolecia zaszły tylko cztery defraudacye na 20 tysięcy złr.

Z poruszonych na zjeździe myśli podniosę tu tylko wniosek, żądający, aby przy każdem towarzystwie zaliczkowem założonem zostało „Towarzystwo ochrony własności ziemskiej,“ jak to już ma miejsce w Limanowej obok Sącza. Wnioskodawca wskazał znakomite rezultaty, osiągnięte skromnymi stosunkowo środkami, projekt też jego przekazano wydziałowi „Związku“ do zdania sprawy na najbliższem zgromadzeniu. O ile wiem (sprawozdań nie było żadnych), towarzystwo limanowskie wytknęło sobie za cel niesienie pomocy właścicielom większych posiadłości, byłoby więc pożądanem, aby wprowadzając w życie nową instytucyę, zakres jej działania rozszerzył „Związek“ także i na posiadłości mniejsze, które równej jak tamte, bodaj czy nie większej wymagają opieki.

Zajmują się niemi, co prawda, także i w sejmie, głównie zaś t. z. klub włościański, do którego należą posłowie zarówno z prawicy, centrum, jak i zdziczałej już do reszty lewicy. Ale zmiłuj się Boże nad tą robotą! Szumu tam więcej z odwijanych wylotów kontusza, bo szlachta się w to głównie bawi, frazesów o miłości młodszej braci i wzajemnych podziękowań, aniżeli pracy rzeczywistej dla dobra ludu, które niedługo się chyba lichem zwać u nas pocznie. Coraz gorzej i gorzej, coraz więcej długów i licytacyj gospodarstw włościańskich, czemu się zresztą i nie można dziwić, gdy zważymy, że prócz biedy galicyjskiej obowiązuje nas jeszcze procedura austryacka, dozwalająca sprzedaż kilkunastomorgowej nieruchomości dla dwóch guldenów długu. A mówię nie o zasadzie prawnej, ale o fakcie, który się u nas powtórzył niejednokrotnie. Jeden z posłów — ten jednak nie należy do klubu włościańskiego—poruszył już tę rzecz w sejmie.

Wspomniano też wreszcie i o regulacyi rzek. Poseł Stadnicki wniósł w tej sprawie interpelacyę, przypominając dawniejsze rezolucye sejmu, na co odpowiedział pan namiestnik, że rząd przyrzekł stanowczo zająć się wygotowaniem odpowiedniego projektu i jeszcze w tym roku przedstawi Radzie państwa wniosek uchwalenia potrzebnego na ten cel kredytu. Niemniej jednak dał p. Zaleski do zrozumienia, że nastąpi to tylko wtedy, jeżeli sejm ze swej strony przyczyni się stosowną kwotą. Przyczynek kraju, nieuchwalony jeszcze, wynosić ma, jak powiadają, 4,500,000 złr., płatnych w 15 rocznych ratach po 300,000. Jak na nasze opłakane stosunki, warunek to bardzo ciężki, ale rząd i Rada państwa nie odstąpią od niego prawdopodobnie. A takby się zdały te pieniądze dla powodzian, dla których już ani sejm, ani osobna komisya powodziowa nie znalazły po za drobną pożyczką rządową i drobniejszymi jeszcze datkami prywatnymi żadnej innej pomocy!..

W jałowej tego roku dziedzinie szkolnictwa wart zanotowania jeden chyba tylko wniosek Dzieduszyckiego, reformujący, ale tylko częściowo, ustawę szkolną. Ma on niby wynagrodzić odrzuconą nowelę i jeżeli go uchwalą, będzie to mały kroczek naprzód. Odnosi on się głównie do szybszego zakładania nowych szkół, mianowicie filialnych (dla braku funduszów na inne), do nadania wreszcie szkołom ludowym i wydziałowym kierunku więcej praktycznego. „Celem szkół ludowych — powiada — ma być nietylko udzielanie młodzieży wiadomości potrzebnych

---

Ostatnie wydarzenie z nóg ją zwaliło; łóżka długo nie mogła opuścić. Jeden z jej synów musiał pełnić rolę gospodyni, bo sługi nie mieli za co trzymać. Zakasał więc rękawy od koszuli aż za łokcie i urabiał ciasto w dzieży, sadzając później do pieca bochny. Gotował jeść. Matka tymczasem piła przeróżne odwary ziół, zalecanych jej przez męża, co, mocno zmartwiony, zaglądał ciągle do „Lekarza wiejskiego,“ podręcznika z końca zeszłego wieku. Z niego się dowiedział, że dobre są na wzmocnienie ciała dekokty z mchu islandzkiego, korzonków waleryanu białego, jakiegoś „stanownika,“ roślin okrutnie gorzkich. Widzieć więc go można było, jak przygnębiony włóczył się po łąkach, mokrokładach z rydlem, szukając tych ziół.

Oto chleb cichy, którego się spodziewała!

Urwał się jednak i ten. Znalazło się kilku oficyalistów, tak samo, jak Nędzarski od jednego chlebodawcy zawisłych, tak samo jak on, pomiatanych: rozpuścili plotki niskie, dziedzic je jednem uchem przyjął, drugiem nie wypuścił, obliczył go krzywo i wskazał swym palcem pulchnym na cztery strony świata. Miało to znaczyć: „Świat szeroki, dalej tam!“

Ponieważ jednak świat w istocie jest szeroki, tylko na nim rogatek na każdym kroku pełno, a przy nich stróże... więc Nędzarskim chyba pod którą z tych rogatek spocząć wypadało.

Znowu więc Nędzarski objeżdżać musiał Hulajskich i Żołnierkiewiczów i młyny lub młocarnie im reparować.

Cóż z żoną? Słońce by mogło opowiedzieć najlepiej o niej. Ono, wlepiając swe oko codzień w ziemię, dużo takich rzeczy widzieć musiało. Właśnie usiadło na brzegu równiny, płachtą śnieżną powleczonej, i wytrzeszczyło swe krwią nabiegłe, strzeliste oko. Nędzarska z dziećmi i gratami domowymi sunęła dokądś saniami po mozajkowej od odpadków wszelkich drodze. Wiatr jej w lód ścinał łzy, a palce szczypał, dwaj młodzi synowie biegli koło sań, tupiąc mocno nogami, obutemi w coś, z czego białe strzępy wyglądały... Tu wądół, tam wądół. Sanie się wywracają, wypada z nich kufer jakiś, z niego lecą ptaszki biało-skrzydłe, kołują w powietrzu, rumieniąc się przed kwawem okiem słońca, upadają na śnieg i dalej wędrują w podskokach. Taki to los archiwum domowego Nędzarskich! W pole wam! w świat pargaminy, lakami zdobne! Wiatr nie zważa, choć dowodzicie, że praojcy właściciela waszego byli niegdyś także stróżami rogatki... Ty zaś dziatwo nie goń daremnie, nie złapiesz, a matce twej żałośnie się robić będzie na sercu, kiedy ujrzy twe nogi o butach rozdziawionych w śniegu po kolana grzęznące. Tłuc niemi trzeba, bo palce poodpadają, a mil kilkadziesiąt jeszcze przed wami.

Źle w tem polu śnieżnem i mroźnem, ale gorzej było wycierać kąt, wspaniałomyślnie przez dziedzica podupadającego udzielony. Gnój to był moralny i cielesny. Dwór różnymi czasy w żyły kmiece wsączył sporo zgnilizny, teraz ostatni stróż rodowej „rogatki,“ głupi i niechlujny dziedzic, sam zgnił... Przodkowie jego krzyżowali rasę chamską bezkarnie, cham tylko okiem błyskał złowrogo, lub w głowę się drapał. Dwór do wsi się zbliżył pod tym względem...

Nędzarskiej duszno tam było, drżała całem jestestwem swem od wstrętu. Przenosiła się do syna.

We wsi zamieszkała. Syn wynajął chałupę biedną, kmiecą, bo i sam, podleśniczym będąc, nie lepiej mieszkał. Żyć trzeba! Spróbowała skorzystać z tego, co z pensyi wyniosła. Dwa razy na tydzień siadywała na stołku, koło niej się skupiali Hapony, Wasyle i Chwiedory małoletnie. Po izbie się rozchodził szmer głosów ich, powtarzających litery, woń łyka, wełny, potu, a czasem — siarkowodoru...

Gdy cisza zapanowywała po wyjściu malców, z łóżka dochodziło stare Nędzarskiej „kachu-kachu.“ Płacono jej za to kartoflami, kapustą, burakami i słoniną; pieniędzy żądać nie śmiała, bo wiedziała, że na podatki wszystkie szły. Byłto w samej rzeczy cichy chleba kęs...

Raz, kiedy taki sam szmer i taka sama woń rozchodziły się po izbie, wszedł wójt, a z nim jakaś postać brodata.

dla każdego człowieka, ale niemniej przygotowanie do praktycznego życia z uwzględnieniem stosunków miejscowych.“ Po ukończeniu zaś szkoły ludowej rozpoczynać się ma, jak dotychczas, nauka dopełniająca (t. z. „powtarzająca!!“). Plan szkolny byłby zmieniony, z przedmiotami następującymi: a) ćwiczenia w czytaniu, przedewszystkiem w zbiorach, na ten cel przeznaczonych, a obejmujących także wiadomości z historyi, geografii i nauk przyrodniczych, b) stylistyka praktyczna, c) *treściwy wykład o organizacyi władz i konstytucyi państwa*, d) *rysunki z szczególnem zastosowaniem do życia praktycznego*; e) rachunkowość pojedyncza, f) *najważniejsze wiadomości z gospodarstwa wiejskiego i ubocznych jego gałęzi lub też z technologii najważniejszego przemysłu miejscowego*.

Uległyby zmianie także i szkoły wydziałowe. Celem ich jest dalsze kształcenie uczniów, którzy po ukończeniu szkoły ludowej nie zamierzają udać się do średnich. Rozdział na męskie i żeńskie — stanowczy. Szkoły wydziałowe dla chłopców mają przygotować uczniów do zawodu przemysłowego albo rolniczego. Oprócz zwykłych przedmiotów w tego rodzaju zakładach (religia, języki itd.) mają być zatem wykładane następujące: a) technologia albo gospodarstwo wiejskie, b) gimnastyka, c) ćwiczenia mechaniczne. Celem nauki w szkołach wydziałowych żeńskich ma być również zarówno ogólne wykształcenie, jak i potrzebom praktycznym odpowiadające. Oprócz przedmiotów nauki zwykłych byłyby wykładane nadto: a) hygiena, b) nauka gospodarstwa domowego i robót kobiecych; jako nadobowiązkowe: gimnastyka, tańce i języki obce.

Ze wszystkich gałęzi przemysłu, jakie istnieją w naszym kraju, szczególniejszą opieką sejmu poszczycić się może niedawno powstałe i słabo jeszcze rozwinięte górnictwo naftowe. W tym roku uchwalono 16,900 złr. na rozmaite roboty górnicze w górach karpackich, z tego 400 złr. dla czasopisma *Górnik*, wychodzącego w Gorlicach, a 1,300 złr. na inne wydawnictwa i stypendya dla uczniów szkół górniczych. Wezwano przytem rząd, aby taką samą kwotę, jaka przyznaną została z funduszów krajowych, przyczynił się ze swej strony do prowadzenia badań geologicznych w Galicyi, a nadto do utworzenia wydziału górniczego w Akademii techniczno-przemysłowej w Krakowie. Wydziałowi krajowemu polecono wreszcie porozumieć się z rządem w sprawie uzupełnienia nauk w szkole politechnicznej we Lwowie wykładami paleontologii, górnictwa i miernictwa górniczego, nauki machin górniczych i chemicznej technologii produktów naftowych.

Z prac sejmowych*) mam jeszcze do zanotowania wniosek Skałkowskiego o przyspieszenie regulacyi górnego Dniestru i Koziebrodzkiego, żądający przymusowej asekuracyi budynków szkolnych od ognia. Sprawa ta wlokła się lat 15, ale i tym razem odesłano ją do komisyi. Był już raz nawet projekt ustawy, ale nie otrzymał sankcyi. Tak się to u nas dzieje zwykle. Podobnie np. ma się rzecz także z projektem ustawy o konwencyi kościelnej. Chciano trochę ciężaru ująć chłopu, ale panowie nie mogli się pogodzić i odesłano sprawę — do komisyi. Co do budżetu, to ten jeszcze nieznany. Uchwala się go zawsze przy końcu sesyi, można jednak przewidzieć po części, jak będzie wyglądał. Oto rada szkolna krajowa preliminuje wydatki swoje w r. 1885 na 677,313 złr., Wydział krajowy zaś obcina je do 429,277 złr., czyli o 248.036 złr!

A to już chyba zamknijmy szkoły zawczasu, zanim zima nadejdzie!

Rewera.

*) Jak one prowadzą się, poucza *Nowa Reforma*: „Dzisiaj (23 września) był sejm dwa razy w tem niemiłem położeniu, że dla braku kompletu nie mógł powziąć uchwały. Pierwszy raz, kiedy miała przyjść na porządek dzienny sprawa reformy ordynacyi wyborczej, musiał ją marszałek usunąć z porządku, ponieważ nie było wymaganego statutem kompletu $^3/_4$ wszystkich posłów, więc 114. Drugi raz zabrakło nawet najzwyklejszego kompletu $\frac{1}{2}$ posłów, t. j. 76. Sejm więc po przeprowadzonej rozprawie nie mógł powziąć uchwały. Jestto objaw bardzo smutny — jest lekceważenie przyjętych a tak ważnych i tak zaszczytnych obowiązków — jest nielojalność, choćby wobec samej tylko okoliczności pobierania dyet poselskich, przecież nie za siedzenie w hotelu lub restauracyi, ale za udział w posiedzeniu — jest dziwna niedelikatność wobec tych kolegów, którzy ściśle pełniąc obowiązki, zostają do końca posiedzenia, obradują; w chwili zaś, gdy mają przystąpić do powzięcia uchwały, dowiadują się, że zdekompletowani. Nic pozostanie nic innego, jak żądać, aby ogłaszano nazwiska tych, którzy bez usprawiedliwienia się, są nieobecni, ażeby wyborcy wiedzieli, jak ich posłowie pełnią swoje obowiązki. Niejedna wielkość spadłaby z etatu...“

O CHOLERZE.

II.

VIRCHOW *).

Różnica, zachodząca pomiędzy poglądami Pettenkofera i moimi nie jest nową w kwestyach, dotyczących cholery; występowaliśmy niejednokrotnie przeciwko sobie. Ale nie mogę przyznać, azeby owa różnica mogła być wyrażona w ten prosty sposób, że ja jestem „kontagionistą,“ podczas gdy Pettenkofer jest „lokalistą.“ Ja raczej kładłem nacisk na to, że wyraz *contagium* (zaraza) jest pojmowany w zbyt ciasnym zakresie, jeżeli się wymaga, ażeby materya zarazkowa była przenoszoną za każdym razem bezpośrednio z osoby na osobę; uważałem za zarazę i to, jeżeli pomiędzy te dwie osoby wszedł jakiś pośrednik. Gdyby np. rzecz tak się miała, jak tego wymaga Pettenkofer, że materya epidemiczna zawsze przejść musi od pierwszej osoby do gruntu, ażeby w nim rozwinąć zarodek zarazka dla drugiej, w takim razie grunt byłby właśnie owym pośrednikiem. Różnica pomiędzy naszymi poglądami streszcza się w zdaniu Pettenkofera, że niema innych pośredników, tylko grunt i że zarodki chorób stają się znowu zdolnymi do zarażania, przechodząc z gruntu w powietrze. Stopniowo dopiero przyznał, że pomiędzy przepełnione zarodkami chorób powietrze i świeżo mającą się zarazić osobę może raz jeszcze wejść pośrednik — np. bielizna. Lecz i przy takiem pojmowaniu rzeczy pierwszy początek zmiany w gruncie wykazuje nam infiltracye materyj dejekcyjnych chorego cholerycznego, równie jak i nowe działanie zarazków na nowe indywiduum. Dlatego też powiedziałem, że teorya gruntu przypusz-

*) Patrz nr. 40 *Prawdy*.

— Na jakiej zasadzie pani nauczasz dzieci obywateli wiejskich? — ozwała się postać czarna z brodą.

— Świadectwo? — pytająco mruknął wójt.

— Mam je... — wybełkotała drżąca Nędzarska.

— Proszę pokazać!...

Nastąpiło milczenie, a potem szukanie w kuferku, tym samym, skąd ongi białe latawce wymykały się w górę...

— Niema!... jęknęła — wiatr mi je w pole uniósł, gdyśmy przejeżdżali tutaj!... O, ja nieszczęsna!...

Twarz zbladła, zgryzota się wymalowała na niej.

— Po cóż kłamać! Odpowiedzialność panią czeka!...

Tu nastąpiła cytata paragrafu kodeksu karnego.

— Chodźmy stąd, ojcze! — perswadował wójt, którego dziecko także się uczyło—e! co tam!... Chodźmy stąd, ojcze!... Niema świadectwa, to nic będzie uczyć... Ja nie poz...

Resztę wyrazu śpieszno mu było ze śliną połknąć.

Gospodarze przed oknem Nędzarskiej głowy kłopotliwie skrobali, Nędzarska szlochała, syn starszy pocieszał.

— Ostatni zarobek!... — jęczała.

— Cóż robić, matko kochana!

— Zginiemy, z głodu pomrzemy...

— Od czegóżem ja?

Łzy ustały, zaschły, twarz biednej ułożyła się do zwyczajnego wyrazu swego łagodnego.

— Malcy postępy już zrobili... smutno szepnęła — ledwiem, bywało, z obiadem mogła się uporać, już drzwi szturmem brali...

Odtąd coraz częściej w izbie się rozlegało „kachu-kachu,“ pierś drapiąco. Mąż znowu z rydlem chadzał po łąkach, walerjanu białego i mchu islandzkiego poszukując. W mieszkaniu odory szpitalne czuć było. Na sercu męża i każdego syna kamień legł ciężki.

— Jak mama wyzdrowieje, pojedziemy do Żydzińska! — pocieszał syn starszy, podleśniczy.

Uśmiechała się, zamiary różne snuły się jej po głowie. Apetytu nie miała a teraz i ten wrócił. Przez okno wpadała wiosna, a z nią woń kwiatów jabłoni i zapachu traw błotnych, świergotu jaskółczego i nuta „wiośnianki“ poleskiej. Chora mogła siedzieć już. Kamienie z serc pospadały, wszczęła się rozmowa ciepła, śmiechem, wybuchającym często i lada czego, przeplatana. Twarz chorej łagodna i wypogodzona.

— Może mamie przeczytać co? — pytali synowie.

— Dobrze, dobrze, moi kochani, ale to później... Teraz pogadajmy jeszcze.

Synowie zaznajomili się z bibliotekarzem dziedzica i mieli od niego książek wiele. Było co czytać.

Błogo dzień, błogo wieczór zeszedł całej rodzinie. Posnęli snem smacznym.

Nad rankiem rzężenie jakieś zbudziło ojca i synów. Ocknęli się, poodrywali głowy od poduszek, uszy nadstawili.

„Kachu-kachu“ — doleciało z łóżka Nędzarskiej.

Smutkiem na nich wionęło.

— Mężu! .. co to... jest... że mnie tak... słabo?...

— To nic!... Przejdzie...

Patrzą na nią, siność jakaś błąka się jej po twarzy, rękach. Szklistość powlekła oko. Synowie z ojcem podrętwieli i do podłogi poprzyrastali.

Ona zaś i teraz cicha była i łagodna, choć niejeden kolec życia wdarł się w jej duszę głęboko.

Kiedy później syn starszy pytał doktora młodego, co ją leczył w ostatnich czasach, ten tak powiedział:

„Organizm to był zrujnowany życiem ciężkiem. Dziesięć lat temu jeszcze by się je dało przedłużyć jej. Ot, co długo gadać! Katar kiszek i suchoty zabiły ją. Tak, tak, kochany panie, matce pańskiej potrzeba było w życiu więcej spokoju i strawy lepszej. Znane mi są trochę dzieje tej kobiety, ojciec pański opowiadał mi je. To są dzieje wielu mieszkańców nizin!...“

Zygmunt Komar.

cza stosunek zarażania i muszę teraz tem bardziej oświadczyć, że nazwy „kontagioniata“ i „lokalista“ zaciemniają ten pierwiastkowy stosunek.

Oddawna jest już dowiedzioną rzeczą, że bielizna chorych cholerycznych pośredniczy w zarażaniu zdrowych dotąd ludzi. Stąd wywnioskowałem, że w zanieczyszczeniu jej zawierać się musi zawiązek choroby i że on może być przeniesiony za pośrednictwem bielizny z osób chorych na zdrowe. Pettenkofer zaprzecza słuszności tego wniosku. Twierdzi on, że zarodek choroby dostał się z gruntu do bielizny za pośrednictwem powietrza—ogniska lokalnego. Ale dlaczegóż tylko bielizna chorych cholerycznych działa zarażająco? Jeżeli powietrze danej miejscowości pełne jest zarazków chorób i dostają się one do bielizny, to wszak każda w tej miejscowości musiałaby być zarażoną i działać zarażająco!

Pettenkofer rzuca w przytoczonym przezeń przykładzie pytanie: dlaczego tylko monachijska a nie sztuttgarcka bielizna działała zarażająco? Ażeby odpowiedzieć na to, musielibyśmy o obu bieliznach, zarówno jak i o szczególnych warunkach, przy których przechodziły one przez ręce praczek, wiedzieć nierównie więcej, aniżeli to mnie przynajmniej jest wiadomem. Kto może osądzić, nie znając sprawy w jej najdrobniejszych szczegółach, dlaczego w jednym z tych wypadków nie wystąpiło podobne działanie, jak w drugim. Ale niemożliwość wyjaśnienia każdego pojedynczego wypadku nie usuwa jednak ogólnego faktu, że tylko bielizna chorych cholerycznych wywołuje cholerę.

Spostrzeżenie Kocha, że ten sam bacillus, który zapełnia takiemi masami wnętrze kiszek chorego cholerycznego, pomnaża się z przerażającą szybkością w wilgotnej bieliznie, zdawało mi się wyjaśniać ten oddawna znany fakt. Sądzę, iż mogę nawet dodać, że w ten sposób łatwo pojąć, dlaczego tylko ta bielizna działa bardziej niebezpiecznie, w której korzystne są warunki podobnego dalszego rozwoju, w której przechowuje się odpowiednia wilgoć i która dość długo leży, aby mógł nastąpić liczniejszy rozwój bacillusów itd. Przeciwko temu powstaje Pettenkofer i ja sam to podniosłem, że wcale jeszcze nie zostało na pewno stwierdzonem, czy bacillus jest zarodkiem choroby.

Postępuje on nawet jeszcze o krok naprzód. Przypuszcza, że uda się wynaleść trwałe formy bacillusa i że wtedy pokaże się, iż one to są właściwymi zarodkami chorób również w gruncie. Po stanowczem zaprzeczeniu przez Kocha istnienia takich trwałych form, hypoteza ta jest trochę dowolną i dalsze wyniki, które Pettenkofer wyprowadza stąd, że trwałe formy zmartwychwstają po tygodniach i miesiącach, wywołując nowe wypadki cholery, przekraczają zupełnie granice faktów rzeczywistych. Nie chcę przytem w żadnym razie powiedzieć, że coś podobnego nie jest możliwem, ale powinienem powiedzieć, iż praktyczna służba zdrowia staje się niemożebną, jeżeli zaczniemy sądzić nie podług faktów, ale tylko podług teoretycznych przypuszczeń.

Cała teorya gruntu Pettenkofera pozostaje tymczasem podobną teoretyczną możliwością. Nikt jeszcze nie znalazł ani w gruncie, ani w powietrzu grzybków cholerycznych, a tem mniej trwałych zawiązków. Nie wiadomo też zupełnie, czy powietrze przenosi zawiązki cholery na człowieka, albo też jego bieliznę, albo też wreszcie na jakiekolwiekbądź inne przedmioty. Ażeby jednak uczynić ten domysł prawdopodobnym przez wyłączenie innych, Pettenkofer przeczy stanowczo temu, ażeby woda do picia mogła zawierać kiedykolwiek zawiązki cholery.

Wobec faktów, przemawiających za szkodliwością wody do picia w pewnych wypadkach, powiedziałem dawniej, że Pettenkofer „musiał strasznie naciągać fakty.“ Cieszy mnie, że nie zrozumiał tego w złem znaczeniu. Nie chciałem bowiem wyrazić tem wcale umyślnego zaprzeczenia faktów. Pettenkofer jest właśnie tak dalece przekonanym o słuszności swojej teoryi, że to, co inni uważają za fakty, jemu w innym zupełnie przedstawia się świetle. I teraz jeszcze, kiedy Koch znalazł bacillusa cholerycznego w wodzie używanej do picia i to przez ludność, wystawioną w wysokim stopniu na tę chorobę, Pettenkofer uważa wypadek ten za niemający wagi.

Co do epidemii na okrętach, to Pettenkofer był dawniej tego mniemania, że na pokładzie okrętu nie może dostać cholery nikt taki, kto nie zaraził się na stałym lądzie. Tu jednak siła nowych spostrzeżeń okazała się tak mocną, że przypuszcza on teraz możliwość dostania się zawiązków cholery i za pośrednictwem rzeczy. Ale muszę zauważyć, że znamy pojedyncze epidemie cholery, w których na pokładzie, podczas prawie 4 tygodnie trwającej przeprawy objawił się taki regularny ciąg zasłabnięć, że wyjaśnienie ich przez zarażone rzeczy byłoby więcej niż trudnem. Powtarzanie szczegółów takich nieszczęśliwych podróży nie będzie tutaj potrzebnem; ogłosiłem już przedtem stosowne spostrzeżenia dla naukowej publiczności. Pettenkofer nie zaprzecza bynajmniej znaczenia tych wypadków; powiada tylko jeszcze, że cholera nie jest zwykle zaraźliwą na okrętach. Ale sądzi on, że kontagioniści błądzą przesadzaniem znaczenia pojedynczych objawów.

W tem, niestety, leży zasadnicza sprzeczność. W naukach przyrodniczych weszło w zwyczaj uważać prawo za wolne od wyjątków. Przecież częstokroć w pewnych wypadkach poznajemy prawo w całej jego czystości, podczas gdy zazwyczaj bywa ono zaciemniane przez liczne poboczne okoliczności. Jeżeli cholera raz tylko jeden działa na okrętach zarażająco, w takim razie jej zdolność zarażania jest już tem samem stwierdzoną. Jeżeli zazwyczaj nie działa zarażająco, to dzieje się to, być może, dla tego, że ta zdolność zarażania bywa ograniczoną, albo też nie urzeczywistnia się.

Jakkolwiek rzucona w lesie paląca się zapałka nie powoduje często jego pożaru, jednak doświadczenie to nie obala faktu, że taka paląca się zapałka może czasem spowodować pożar lasu, a tem samem nie przeczy z jej strony zdolności do rozniecania ognia.

Teorya gruntu Pettenkofera była w pierwotnem swojem założeniu próbą wyjaśnienia rozwoju miejscowych ognisk choroby. Ale i w tem ograniczeniu nie była ona wolną od zarzutów. Nikt jednak nie zaprzeczy temu, że jej twórca dołożył wielkiego starania i niezwykłego talentu na dostrojenie jej do najróżnorodniejszych warunków miejscowych. Czas pokaże, czy teorya ta będzie miała prawo bytu w obrębie pewnych granic. Walczyłem jedynie i walczę przeciwko jej pretensyom do wyłącznego panowania. Gdyby szło tylko o naukową hypotezę, w takim razie nie byłbym jej stawił przed forum opinii publicznej. Lecz domaga się ona praktycznego wpływu na wykonawcze i administracyjne środki ostrożności i tu staje się wraz z poprzednimi dowodami P. wprost szkodliwą.

Przyznaje on, że otrzymujemy chorobę zawsze na nowo z Indyj, że Indye są stałem siedliskiem zarazy i że stosunki handlowe przynoszą nam cholerę; przecież w końcu wyśmiewa tych, którzy dążą do przeszkodzenia takiemu zawlekaniu choroby. Zupełnie tak samo postępowano przed wiekiem z morową zarazą, ale jedyna sposobność, która zbliżyła do nas niedawno tę straszną chorobę, dowiodła praktycznie, że można zapobiedz jej zawleczeniu. Względem cholery jest to nierównie trudniejszem i odnośne zagadnienie nie zostało jeszcze rozwiązanem. Ale nie należy przecież uważać dążenia do podobnego rozwiązania za niedorzeczność.

Miejscowe ulepszenia są ważnym środkiem do przeszkodzenia dalszemu rozwojowi zarazy. Pettenkofer słusznie też przytacza nam jako przykład Anglię. Kraj ten od r. 1849 przez długi szereg lat nie był nawiedzonym przez żadną ciężką epidemię, ale w 1866 nastąpił wybuch z śmiertelnością 9,2 na tysiąc. Dlatego też sądziłbym, że nie należałoby stawiać wszystkiego na jedną kartę lokalistów—sprawa mogłaby być łatwo przegraną. Niechaj każdy zamiata przed swoim domem, ale niech też nie przestaje strzedz się zarazy.

R. T.

III.

T. CHAŁUBIŃSKI.

(Leczenie).

Pomimo zagadkowej przyczyny cholery, której nie rozjaśnił nawet odkryty przez Kocha a mordowany i wyśmiewany przez jego przeciwników (zwłaszcza w Anglii) bacillus przecinkowy, nie jesteśmy ogołoceni ze wszystkich wobec tej zarazy środków leczniczych. Przedstawiliśmy dwa poglądy słynnych teoretyków na istotę choroby; dla dopełnienia podajemy rady praktyczne najznakomitszego terapeuty polskiego, prof. T. Chałubińskiego, który w *Gazecie lekarskiej* zamieścił szereg przepisów, wyprobowanych długoletniem doświadczeniem w wielu epidemiach. Ponieważ nie mamy żadnej pewności, że cholera zgaśnie na południu Europy, nie przezimuje w niej i nie rozszerzy się poza pasy nadmorskie, przepisy więc te mają i na długo zachowają wielką wartość dla ogółu. Naturalnie powtarzamy tu tylko wskazówki ogólne, odsyłając czytelników po szczegóły do źródła.

Według prof. Chałubińskiego, jest to faktem empirycznym, nieulegającym żadnej wątpliwości, ani wyjątkom, że począwszy od okresu wstępnego (który objawia się choleryną, lub uczuciem osłabienia, sinawom podkrążeniem oczów itd.) aż do akmo okresu depresyjnego, ilekroć uda się wywołać wymioty *żółciowe,* rokowanie staje się bezwarunkowo lepszem. Najskuteczniejszym ku temu środkiem okazały się proszki z emetyku (0,05) i ipekakuany (od 0,50 do 1,00) co kwadrans lub 20 minut aż do skutku. Gdzie nie można dać vomitorium, niezmiernie cennym środkiem jest jeszcze kalomel, a przy napadzie przewlekającym się, zwłaszcza już złagodzonym przez użycie vomitorium lub kalomelu — wielce użytecznem bywa Rheum (zwłaszcza w formie płynnej). Prócz wywołania a następnie podtrzymania łagodnymi środkami wydzielin żółciowych przez kiszki, tak w okresie wstępnym, jako też w początkach napadu, mogą być chwilowo wskazane środki pobudzające i alcoholica, kawa itd. dla podniecenia krążenia; w następstwie zaś, przy niezmiernie ostrożnem podawaniu pokarmów, równie ostrożne użycie chininy. W samym zaś napadzie, jeśli się nie uda wzbudzić wydzielin żółciowych, pole medykacyi stanowczej bezwarunkowo się kończy, i jest więcej, niż wątpliwem, aby kiedykolwiek jaki środek okazał się skutecznym. Prócz ospy, której epidemie szczepieniem wakcyny zredukować można do rozmiarów wcale już nie strasznych, nie ma żadnej epidemii, w którejby postępowanie zapobiegawcze osobnicze miało wpływ tak wyraźny i zbawienny, jak w cholerze. Ogólną formułą zachowania się jest: żyć jaknajumiarkowaniej pod każdym względem; starać się o prawidłowość we wszelkich funkcyach. Do najważniejszych i najbardziej zapobiegających szerzeniu się i zjadliwości cholery środków należą hygieniczne, zwłaszcza

w miejscach dużych nagromadzeń ludności.

Wszystkie te rady prof. Chałubiński zamyka następującym — a o ile z tak poważnych ust wychodzi—pocieszającym wnioskiem: „wprawdzie na wysokości już rozwiniętego napadu cholery medycyna jest zupełnie bezsilną; tem więcej jednak może dokonać w okresie wstępnym, a częstokroć w rozwijającym się napadzie, najwięcej i zaprawdę bardzo wiele w ograniczeniu rozmiarów klęski działaniem uprzedzającem.“

Teorya cholery zajmuje tylko specyalistów, ale leczenie jej — wszystkich ludzi; głos więc prof. Chałubińskiego był wobec ciągle grasującej zarazy bardzo potrzebnym.

P.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

W. Wysocki. **Zaklęta łza i Nowe dziady**, Kijów 1885.

Żyjące u nas pokolenie synów i córek Apollina, bądź ulegając usposobieniom większości naszego ogółu, bądź nastrojowi duchowemu bezpośrednich swych mistrzów, wystrugało sobie liry z sosenek tradycyjnych. A chociaż dwa dziś najwybitniejsze i najwyżej wzbijające się talenty: Asnyk i Konopnicka—nie śpiewają w takt melodyj biblijno-szlacheckich, nawet śmielsza od swego towarzysza autorka *Hypatyi* nie pokusiła się o ten odskok od typu w swym rodzaju, co Wł. Wysocki. Po wydaniu wesołego bawidełka *Wszyscy za jednego* i *Laszki*, wszedł on na listę pisarzów z patentem, a czytelnicy nasi spotykają również w łamach *Prawdy* jego wiersze. Obecnie przysyła na warszawski rynek dwa nowe płody: *Zaklętą łzą* i *Nowe dziady*.

Są to dwa poetyczne synopizma. Nie dziwiłbym się duszom, nawykłych do balsamów i kitajek, gdyby pod tymi plastrami syknęły. Nasza bowiem apteka literacka takich ostrych środków nie wyrabia, a medycyna krytyczna ich nie przepisuje. Muza Wysockiego jest najszczerszą, najśmielszą i najbardziej szyderczą ze wszystkich, jakie dziś zamieszkują nasz Parnas. Nie zawaha się ona otworzyć i przypalić żadnej rany, a o politycznem milczeniu niema żadnego pojęcia. Odmawia szczególny pacierz z potępień, szyderstw i skarg na przeszłość, a raczej na jej szlacheckich winowajców złożony. Jeśli zaś płacze, to z oczu jej spływa tylko... *łza zaklęta*.

Oto jej dzieje.

Była ta łza naprzód kroplą rosy na kwiatach i kłosach lub spadała z deszczem rodzajnym. Raz wiatr ją przerzucił przez wyżyny Tatr i złożył na winnem gronie, które ją wyssało. Przerodzona, słodka, wróciła do ojczyzny w beczce tokaju. Wypił ją pan możny i po sutej uczcie wyszedł z biesiadnikami do ogrodu dla obejrzenia stawu, który kopali jego poddani. Z czarnej, zarytej w błoto gromady jeden wyrostek, odurzony widokiem przepychu, zagapił się a wreszcie pośpieszył ucałować pańskie kolana: „Precz bydlę!“— krzyknął szlachcic, spostrzegłszy plamę na swym kontuszu, i plunął na chłopa. W ślinie spadła na uznojoną głowę owa kropla, która potem wzleciała do góry obłockiem pary... przeklęta — dopóty, „aż z trudów i pracy na czole szlachcica wystąpi kropelką potu.“ Odtąd tuła się z tym wyrokiem. W nieszczęściach i burzach pił ją ród szlachecki.

„Do serc ich (powiada) wchodziłam, jak grzesznik [do celi,
Gdy szuka ulg w zgryzocie;
Lecz stamtąd mię we krwi lub we łzach wyleli,
A nigdy w pracy swej pocie.“

Pokuta jej więc dotąd nieskończona.

Pomysłowi temu niepodobna odmówić wysokiej poetyczności i oryginalności. Nie są to zwykłe kowalskie obcęgi, któremi autor ściska szlachcica, rozpala go w piecu i ciężkim młotem przekuwa na demokratycznem kowadle; nie, jest to miecz ognisty, w którego płomienistych blaskach odbija się pięknie barwa głęboko odczutej niedoli i na którym poeta zatknął umarłe serce samolubne.

Gdy odchylam trumny wieko
I oglądam nasze dzieje,
Chcę nie płakać więc się śmieję,
Ja się śmieję, a łzy cieką...

Taki napis umieszcza na czele swego „żarciku poetyckiego“ p. t. *Nowe dziady*. Już dawniej Wysocki okazał skłonność do wlewania swej satyry w formy znanych utworów naszej literatury. Tu naśladuje *Dziady* Mickiewicza. Guslarz wywołuje duchy przeszłości w starym zamku. Naprzód „ostatnich jego mieszkańców.“ Dla sprowadzenia ich każe do kotła wlać: ocet siedmiu złodziei, wrzucić mózg rocznego ciołka, kawał wątroby pijaka, krwi z papugi, rdzy z szyszaka — wszystko to soli szczyptą prochu z wieży Babel i cedzi przez pończochę utyceńskiego Katona. Po wypędzeniu tego ohydnego orszaku, przywołuje ziemian: każdy zjawia się nago z żydem na plecach i skargą, że nie może go zrzucić. Guslarz, wyłajawszy tę czeredę za marnotrawstwo, wyganiaj ą i wzywa trzeci żywioł.

Widzim jakichś dwóch drągali:
Łeb schyliwszy, pięście obie
Każdy wzniósł — i wzajem sobie
W czuby czworo rąk wplątali:
Naprężone jako struny,
Zapaśników włosy trzeszczą,
W obu twarzach gniewu łuny
Pąsem palą się złowieszczo.

Dla uśmierzenia ich przybiegają balwierze i golą głowy zapaśnikom, którzy skutkiem tego nie mają się za co drzeć. Po rozmyślaniu Nieznajomego, tchnącem rozpaczą, gdyż

Ludzkość zawsze ta sama, tylko zmienia szaty
I treść dramatu jedna — choć w innej postaci
Występują też same ofiary i kaci

— zjawia się duch Twardowskiego. Opowiada on swoje dzieje w sposób pełen humoru i goryczy a kończy cierpką skargą na Rzym (w którym, jak wiadomo, dyabeł go złapał):

Choć przykładem hojnych przodków
My — hołysze wnukl,
Nie rzucamy złotych podków
Dziś na Rzymu brukl;
Gdy nie możem, jak przed laty,
Na podziw Europy,
Zwycięstw naszych plon bogaty
Miotać mu pod stopy;
Gdy nas nie stać już na dary
Z naszych dzieł, wawrzynów,
To niesiemy mu ofiary
Z *malowanych* czynów.

Wysocki nie jest mistrzem formy: wiersz tryska mu z pod pióra gładko, wdzięcznie, ale często zahacza się o jakąś drobną ułomność i pośpiech. Gdyby autor chciał go staranniej szlifować, tworzyłby rzeczy bardzo piękne. Poezya potrzebuje nietylko silnego ognia, ale również nie może się obejść i bez pilnika. Kładziemy zaś na tę okoliczność tem większy nacisk, że talent Wysockiego ma w sobie dużo pierwiastków oryginalnych i w pewnych nam sympatycznych sferach szybuje sam jeden—bez towarzysza i bez współzawodnika. Wyrażenia takie, jak: „*nie bądź* Romy, *dyablib* mię nie wzięli,“ lub „służył *emblematem*,“ wreszcie niektóre zaniedbane rymy i przenośnie są skazami, których łatwo uniknąć można.

Jeszcze uwaga. Czytelnik *Prawdy* powinien poznać najświeższe prace Wysockiego, gdyż nasze sprawozdanie nie mogło uwydatnić wielu szczegółów ich treści.

S.

PIŚMIENNICTWO NIEMIECKIE.

(Notatki).

Edgar Bauer, **Das Capital und die Capitalmacht**, Lipsk.

„Jako *fakt* walka społeczna jest poruszającą siłą historyi; jako *frazes* kwestya społeczna jest narzędziem bezpłodnej i niepokojącej agitacyi.“ W tych słowach, wypisanych na okładce, streszcza autor wywody swej książki. Wywody te obejmują bardzo szerokie (jak na 186 stronicową książkę) koło przedmiotów: pieniądze, prawo, uzasadnienie własności, kościół, naukę, wiek XIX itd. „Początek prawodawstwa— powiada Bauer — spoczywa w fakcie własności. Własność jest zjawiskiem naturalnem, poprzedzającem utworzenie państwa i dlatego stoi po nad ustawodawstwem. Gdy to ostatnie narusza własność — samo ustaje.“ Z tych twierdzeń łatwo wywnioskować sobie stanowisko autora, które zwraca się przeciwko socyalizmowi — jako agitacyi. Według niego, „kwestya społeczna jest w Niemczech kwestyą dynastyczną.“ I jeżeli ma nastąpić przewrót w stosunkach własności, to może on wyjść tylko od monarchy. Przypuszczenie to Bauer popiera dowodami z „ery Hohenzollernów.“

K. Preler, **Die Erhaltung des Bauernstandes**, Lipsk.

Roscher kiedyś napisał: „Zachowujmy starannie stan włościański, ten skarb, ten kapitał rezerwowy naszej przyszłości. A chociaż utrzymanie go bywa nieraz trudnem, jest ono w każdym razie łatwiejsze, niż dźwiganie. Stan włościański jest korzeniem drzewa. Kwiaty, liście i gałęzie, nawet pień mogą zamrzeć; ale gdy korzeń jest zdrowy, odżyją. Gdzie jednak korzeń zmarnieje, całe drzewo ginie.“ Na tem przekonaniu Preler oparł swoją pracę, pouczającą, jak utrzymać stan włościański, który „niszczeje na gruncie kapitalistycznym,“ a wraz z nim „znika miłość ojczyzny a żywioły rewolucyjne nie pozwalają społeczeństwu uspokoić się.“ Skrytykowawszy istniejące (w Austryi głównie) stosunki, autor podaje (str. 369) cały szereg rad, między któremi naczelne miejsce zajmuje żądanie ograniczenia podzielności gruntów włościańskich, a nadto domaga się dla nich wielu reform, ulg i przywilejów. Z silnym naciskiem wykazuje on również konieczność rozdmuchiwania religijności śród ludu. I w tym względzie idzie za Roscherem. Książka w ciągu roku doczekała się drugiego wydania. Gdyby dla jej autora potrzeba było wynaleźć pokrewieństwo śród znanych ekonomistów, możnaby wykazać pewien związek z Schafflem.

L. B. Hellenbach, **Die Vorurtheile der Menschheit**, trzy tomy, Wiedeń.

Autor jest znanym filozofem „zdrowego rozsądku,“ któremu nawet poświęcił przed kilku laty osobną książkę. Obecna praca ukazuje się w drugiem wydaniu.

Przesądy ludzkości — co za bogaty, niewyczerpany temat! Hellenbach nie ogarnął tego pola całkowicie, zaledwie dotknął zagadnień ważniejszych, a przecież trudno w krótkiej wzmiance wyliczyć samo przedmioty. Według niego „zasada moralna — a z nią dola ludzkości — leży między dwoma kamieniami młyńskimi: powagi kościelnej i naukowej; owocem tego tarcia są występki i cierpienia—którym z obu stron trzeba zapobiedz.“ Jedną więc ręką ujmuje Kanta, w drugą bierze latarkę „zdro-

wego rozsądku“ i oświeca przesądy zarówno religijne, jak i naukowe. W wycieczkach drugiego kierunku jest dużo dyletantyzmu, zwłaszcza w rozprawach z przyrodnikami, ale i trafnych uwag nie brak.

Tom pierwszy usiłuje dowieść, że społeczeństwo, jako moralna jednostka obciążona długami, nie może nic zrobić dla swych członków i że tylko krzywdą innych ograniczone prawo posiadania jednostki może dać szczęście. Wskazane tu są zgubne wpływy wojen i możliwość osiągnięcia ich skutków drogą pokojową. Zastanawiając się nad małżeństwem, autor żąda dlań zupełnej swobody i większej troski o dzieci, niż o miłość.

Tom drugi poświęcony psychologii („światowi nadzmysłowemu“) i religii, której H. przyznaje znaczenie, ale radby ją oczyścić z przesądów.

Tom trzeci zawiera filozofię autora, będącą ulepszonym kantyzmem.

Filozofii tej przyświeca nadzieja szybkiego rozpłynięcia się. „Przypuśćmy—powiada H. — że co rok przechowam i pozyskam jednego człowieka i że jeszcze pożyję lat dziesięć. Przypuśćmy dalej, że ów człowiek znowu przekona i pozyska jednego a pożyje także lat dziesięć. Jeżeli te cyfry są słuszne, w ciągu lat 10 byłoby około 1,000, a w 20 około 1,000,000 inteligentnych istot na świecie — zawziętych nieprzyjaciół wszelkiej rewolucyi, przyjaciół pokojowego rozwoju ekonomicznego ludzkości i pośrednich lub bezpośrednich założycieli posiadania zbiorowego.“

A. Leroy-Beaulieu, **Das Reich der Zaren u. die Russen**, tomów dwa, Berlin.

Głośna i obszerna (około 1.000 stronnic dużej ósemki) praca francuskiego ekonomisty, z której tyle pocieszających wniosków wyprowadziły dzienniki rosyjskie, ukazała się w przekładzie niemieckim. Jest to rozległy obraz cywilizacyi Rosyi współczesnej, w którym czytelnik na miejscu zjawiskom przypatrujący się dostrzeże wiele błędów, ale któremu niepodobna odmówić wielu szczęśliwie uchwyconych rysów i bogactwa materyału. Oceniając żywioły, składające państwo, autor tak mówi o nas: „Jest to nieszczęście polaków, że obok wielu świetnych przymiotów, rycerskiego ducha i śmiałego patryotyzmu, po podziałach w wieku XVIII, równie jak przedtem, nie mają zmysłu politycznego. Zdaje się jednak, że pod tym względem długie niepowodzenia nie przepadły dla nich: stali się praktyczniejsi, pozytywniejsi i mniej skłonni do wielkich marzeń i złudzeń. Wielu pojmuje, że dla ich narodowości panowanie rosyjskie jest daleko mniej niebezpiecznem, niż niemieckie i że Warszawa (?) nie powinna się oddawać iluzyi, iż obu (?) zupełnie uniknie. Połączenie Polski rosyjskiej z Galicyą austryacką, o czem marzą niektórzy patryoci, jest tylko utopią, której urzeczywistnienia sama geografia stoi na przeszkodzie. Ustanowienie „Królestwa kongresowego“ z lenną lub związkową zależnością od Niemiec, według projektu często wysuwanego u naszych sąsiadów, nie jest niczem innem, jak zwodniczem widziadłem, po za którem czyha pożądliwość niemiecka.“ Wogóle — co jest naturalnem — autor ocenia wszystko swą nienawiścią do Niemiec a przyjaźnią dla Rosyi.

L. Büchner, **Aus Natur u. Wissenschaft**, dwa tomy, Lipsk.

Bardziej głośny, niż znakomity dogmatyk materyalizmu zebrał pod powyższym tytułem swoje studya, krytyki, artykuły okolicznościowe i polemiczne. „We wszystkiem — powiedział B. Gracian — przodem idzie kłamstwo, ciągnąc za sobą głupców na linie nieuleczalnej mizeroty; dopiero na końcu postępuje prawda, wolno, kulejąc, wsparta na ramieniu czasu,“ Owa prawda ma przebywać dotąd w pismach Büchnera; tymczasem to tylko nie ulega wątpliwości, że ona dzięki jemu... kuleje. O czem on mówi w swych świeżo wydanych książkach? O wszystkiem, ale nieraz w sposób tak płytki, że prawda staje się według Shakespeare'a psem, zapędzonym do budy.

Illustrirtes Konversations-Lexicon. Firma Spamera w Lipsku rozpoczęła wydawać wspaniałą encyklopedyę ilustrowaną. Puszczone dotąd zeszyty (całość obejmie ich 200 — po 50 fenig każdy) budzą w nas... zazdrość, że tego rodzaju wydawnictw literatura polska może nigdy w swoim języku nie zobaczy. Żal nas ogarnia przedewszystkiem ze względu na młodzież, któraz takich książek wybornie się kształci a o której księgarz lipski pomyślał.

H. Heine **Werke**, Wiedeń, Lipsk, S. Bensinger.

Wyklęty i najbardziej czytany poeta niemiecki doczekał się nareszcie wspaniałego wydania ilustrowanego swych dzieł. Owa wspaniałość wszakże występuje tylko w... tytule okładki, gdyż ilustracye tekstu są dosyć liche.

L—r.

LIBERUM VETO.

Podniesienie skali umysłowej akuszerek. — Słuszność zwyczaju.—Popularny wykład anatomii. — Prowincya w szponach nieuctwa. — Dwa argumenty. — Uszlachetnienie wzgardzonego stanu przez wiedzę.—320 funtów wytrychów jako wykładnik moralności społecznej. — Dalszy ciąg biografii krakowskiego gagatka. — Ważne dla literatów.—Pomysł jako dusza powieści. — Ciasne koło humorystyki.—Niefortunny balon i jego dwudniowe wydymanie się.—Dobroduszna publiczność.—Pożar fabryki i brak wody.

Szczęściem nie brak jeszcze u nas miejsca w gimnazyach żeńskich, bo i ja skarżyłbym się wraz z niektóremi pismami na podwyższenie umysłowej stopy dla kandydatek akuszeryi. W przyszłości obowiązane będą skończyć co najmniej cztery klasy gimnazyum. Z jaką kwalifikacyą przyjmowano je dotąd? Nie wiem, ale to dobrze pamiętam, że jedna z nich tak objaśniała chorą:

— Widzi pani, serce jest uczepione na żyle, jak krążek u zegara i dlatego tak tyka. Naokoło niego wiszą płuca, jak wagi. Kiszki to niby kółka i sprężyny. Mieszczą się one w żołądku, który jest bardzo czuły, i gdyby go nawet słomką dotknąć, zaraz by człowiek umarł.

— A pokarmy, które go przecie dotykają... zauważyła chora.

— A one się gotują na papkę w dołku, gdzie ze śledziony wlewa się sok ostrzejszy, niż wytryolej. Niech Bóg broni, żeby się dostał do wątroby, zaraz ona zapali się jak siarka. Pod wątrobą...

Resztę światła córa Eskulapa, bacząc na moją obecność, doszeptała chorej w ucho.

Ten popularny wykład anatomii nasunął mi wówczas pytanie: gdzie u licha kształcą się te opiekunki życia naszych żon, sióstr, matek i córek? Naturalnie w Instytucie położniczym. Ale jakże one wchodzą do kliniki przygotowane, jeśli z niej wynoszą taki zamęt wiadomości, albo raczej taką zupełną niewiadomość? Nie to jedno doświadczenie nauczyło mnie szacunku dla pewnego, na pozór niedorzecznego zwyczaju. O *akuszerach* wolno wspominać nawet w obecności dam rumieniących się z całą dokładnością dobrego tonu; natomiast *akuszerka* nie może przejść przez należycie wychowane gardło w przyzwoitem towarzystwie. Mówi się wtedy: „wiadoma“ lub „niezbędna osoba,“ wreszcie „sage femme,“ ale *akuszerka* jakoś brzmi nieprzyjemnie, cynicznie. Otóż doprawdy konwenans ma słuszność. Bo czy podobna o tych „niezbędnych osobach“ wspominać bez zakłopotania, wiedząc, że one znają dołek z palącym sokiem, w którym przerabiają się pokarmy, zanim przejdą do żołądka? Ale wstyd, który nam się wtedy rzuca na twarz, nie powinien być zasłoną dla zacnego aktu natury, ile raczej odczuwanym przez każdego wyrzutem, że kapłanką tego aktu jest zwykle kobieta ograniczona. Przykro pomyśleć, że człowiekowi przy jego wejściu na świat pierwszą rękę podaje istota ciemna. Warszawa może jeszcze posiadać akuszerki uzdolnione, ale kto to w najstraszniejszych męczarniach radzi matkom po wsiach i miasteczkach? Jeden z lekarzy zaręczał mi, że między wieśniaczkami, których zdrowie tak nas zachwyca, jest przerażający procent kalek. Niestety, nam można wytłomaczyć, że kij włożony w wodę nie łamie się, choć wygląda złamany, ale to, że jednostka ukształcona w pewnym zawodzie nie powinna koniecznie czepiać się Warszawy, lecz szukać chleba i zasług na prowincyi—to pozostanie dla nas długo jeszcze dziennikarskiem zrzędzeniem. Za przykładem innych stanów idą akuszerki. Wolą w Warszawie szachrować mamkami, niż pracować w Biłgoraju lub Kurowie. Jeżeli zaś stolica posiada zaledwie kilka lepiej uzdolnionych, to łatwo sobie wyobrazić, jakie to męty odpływają na prowincyę! Tam już występuje anatomia, która mężczyznie przypisuje organa kobiece i posługuje się czarami.

Smutna łza wysączyła się z oczu pewnego pisma skutkiem podwyższenia miary umysłowej dla kandydatek akuszeryi. Przytoczono dwa argumenty: 1) że u nas są inne stosunki niż w Rosyi, gdzie ten stan posiada większe znaczenie i 2) że owa reforma otworzyła podwoje szkoły tylko dwu uczennicom. Pierwszy argument wprost nie zasługuje na uwagę. Bo że w Rosyi są inne stosunki i tam akuszerka posiada większe znaczenie, to jeszcze nie racya, ażeby ona u nas takiego znaczenia nie posiadła. I mała cyfra kandydatek nie powinna nikogo przerażać. Dziś jest dwie na pierwszym kursie, a za lat kilka może ich być 50! Podniesienie poziomu wiedzy chwilowo zatamuje przypływ kobiet nieukształconych, ale pomału zwabi oświeceńsze, uszlachetni cały stan. Dziś córka biednego urzędnika lub zbankrutowanego obywatela wolałaby szyć w magazynie lub sprzedawać wodę sodową, niż zapisać się do Instytutu położniczego; ale niech jego wychowanice pozyskają szanowne stanowisko, niech przyzwoite towarzystwa przestaną omijać ich tytuł, a z pewnością konwenans usunie swoją rogatkę z drogi do uczciwej pracy. Czuła mamo, której nieboszczyk mąż zostawił 17 rs. miesięcznie emerytury, czego doznajesz na myśl, że twoją córkę ktoś zarekomendowałby w salonie dawnych znajomych: panna Marya—akuszerka? Mdlejesz—prawda? No, zobaczymy później, kiedyś, gdy akuszerka będzie ukształconą.

Nieuleczalni chorzy odezwali się znowu z prośbą o miłosierdzie przez usta kilku ich obrońców w prasie. Bolesny to głos! Idzie biedny kaleka do szpitala, który go w najlepszym razie przyjmuje, ale przekonawszy się, że „nieuleczalny,“ zgodnie z ustawą, wydala. Gdzie? Na bruk. Trzeba usiąść z dożywotnią chorobą na bruku i nie mieć grosza w kieszeni, ażeby zrozumieć potrzebę założenia przytułku dla tych nieszczęśliwych. Już wreszcie bez takiej próby ją zrozumiano—ale i społeczeństwo nasze znajduje się wobec tej sprawy w położeniu owego nieuleczalnie chorego na bruku bez środków. Kto tych środków dostarczy?

Policya kazała stopić 320 funtów wytrychów i narzędzi złodziejskich, zebranych ostatniemi czasy w Warszawie. Gdyby łupy zdobyte tym arsenałem można było odzyskać, mielibyśmy niezawodnie obszerny przytułek dla nieuleczalnie chorych. Tymczasem imponuje nam tylko... cyfra,

będąca wykładnikiem społecznej moralności. 320 funtów wytrychów złapanych— a ile niezłapanych! Żero można dodać w zakresie roku obecnego? Bezpiecznie. Budzi to w nas wesołość, bo ostatecznie — co robić! Życie już przez wszystkie osoby odmienia słowo: *kraść*, tylko opuszcza pierwszą obu liczb: kradniesz, kradnie, kradniecie, kradną. A niedługo może i brakująca osoba będzie miała odwagę wystąpić w tej złodziejskiej konjugacyi. Od czasu do czasu wszakże uśmiech na ustach nam krzepnie i rozmyślamy nad tym groźnie rosnącym postępem. Francya, Niemcy sypiają przy drzwiach otwartych; my obwarowani zatrzaskami, łańcuchami, sztabami żeleznemi nie jesteśmy bezpieczni. Gdy społeczeństwo duma nad kwestyą Konga, złodzieje mu kieszenie przetrząsają. Zaiste trudno dumać o kwestyi Konga, o wielkich sprawach politycznych, strzegąc się ręki rzezimieszków. 320 f. wytrychów! Gwałtu!

Wszystkie stany emigrują do Ameryki, tylko ci właściciele 320 funtów wytrychów pozostają w kraju, dopóki co setnego z nich nie zmuszą do wędrówki na Syberyę. Ajednakże, pomimo wszelkich zaprzeczeń, w Ameryce zarobek dla rycerzy przemysłu nie jest trudny. Na początku roku bieżącego korespondent krakowski i jeden z obywateli ziemskich poznajomili czytelników *Prawdy* z biografią niejakiego p. Stanisława Skrzyńskiego. Obecnie p. S. T. (sprawozdawca *Inżynieryi i budownictwa*) przysyła nam z Chicago dalszy ciąg życiorysu głośnego a przez dewotów krakowskich pieszczonego bohatera. „Około stycznia r. b. — pisze p. S. T. — przybył niejaki St. Skrzyński, który się podawał za hrabiego z Galicyi. Mamy tu już kilku rozmaitych hrabiów, zatem jeden więcej nie zawadziłby. gdyby nie pewne zdarzenie. Wysokie honorarya literackie, zdobyte w Krakowie, nie starczyły na długo, zwłaszcza gdy pan mieszkał w Tremont-House przez kilka tygodni z żoną, a raczej wykradzioną panienką krakowską, którą mianował hrabianką Rozwadowską (z domu). Z przykrego położenia wydobył go poczciwy obywatel, niejaki p. Łebkowski, który nietylko dał mu mieszkanie i życie, ale nadto znalazł dlań miejsce sub-agenta w sprzedaży maszyn do szycia. Sk. trudnił się tem przez kilka miesięcy, sprzedając maszyny chłopom, przybyłym z Poznańskiego i Galicyi. Następnie wszedł w stosunki z agentem, handlującym placami pod budowę domów, stręcząc je również chłopom; i w tym interesie zarabiał dosyć. Nazywał się: St. Zarębą lub St. Duninem. Nareszcie pewien polski mieszczanin powierzył mu 950 dolarów na kupienie placu. P. Skrzyński, *v.* Zaremba, *v.* Dunin dał z temi pieniędzmi nurka, zostawiwszy pannę czy żonę między obcymi. Muszę nadmienić, że i tu, jak w Krakowie. mszy św. nie opuszczał. I tu także chciał wejść pod skrzydła opiekuńcze o. o. Zmartwychwstańców, ale ci przeszli dawno w czujności o. o. Jezuitów i wziąść się nie dali. (Jeden z nich, ks. Śniegórski, urządził tu taką sztukę: zabrawszy lichtarze, kielichy i co było kosztowniejszego, a w dodatku około 65,000 dol. ciężko zapracowanych oszczędności, które parafianie złożyli do przechowania proboszczowi, bo „u niego pewniejsze, niż w banku.“ Skrzywdzeni udali się na skargę do arcybiskupa Fehana, lecz ten pod klątwą zabronił im rozglaszać ten wypadek, a kazał modlić się i dalej pracować — zapewne dla drugiego poczciwca). Krakowski hrabia-literat (z tym ostatnim tytułem się nie rozstawał) upewniał, że przyjechał do Ameryki po spadek żony, z którą dlatego się połączył, że skutkiem zawodu zostaje w krytycznem położeniu itd. Obecnie. o ile mi wiadomo, znajduje się w drodze do Paryża.“

„*Ważne dla literatów!* — czytam w ogłoszeniach *Kuryera warsz.* (nr. 285). Pomysł do bardzo efektownego romansu w stylu Jokaja do odstąpienia. Adresować: A. Z. 25. Poste-restante. Dyskrecya zapewniona.“ Nie wiem, czy historya p. St. Skrzyńskiego jest „w stylu Jokaja,“ ale to pewna, że ona mogłaby posłużyć za osnowę „do bardzo efektownego romansu“ i dlatego na przekór p. A. Z. odstępuję ją darmo. Nie sądzę wszakże, ażebym mu zaszkodził; sprzeda on swój pomysł dobrze, bo powieściopisarstwo nasze, zgodnie wreszcie z europejskiem, poszukuje „pomysłów.“ Kto z męża, żony i kochanka, lub kochającej się pary, ułoży najdowcipniejszą kombinacyę, ten otrzymuje palmę zwycięstwa. O to, co wleje w głowy, usta i serca tych bohaterów — mniejsza. Pomysł — to grunt. Gdy Sardou go schwyci, wsiada co prędzej w dorożkę. pędzi do domu i rodzi dramat. Z przykrością donoszę p. A. Z., że do licytacyi jego skarbu nie stanę, gdyż dla mnie pomysł — to nic, a raczej każdy jest dobry.

Tygodnik ilustrowany wyrzuca naszej humorystyce jednostajność pomysłów. Bezwzględnie ma on racyę: mąż z rogami, oszukiwana żona, pół-światek — oto są główne przedmioty śmiechu naszych pism, przedmioty, mające — jak łatwo dostrzedz — jeden wspólny mianownik. Nad tym mianownikiem humorystyka warszawska umieściła już tyle tłustych liczników, że budzi przesyt. Ale sądzącją względnie, zapytajmy: o czem ma pisać na warszawskim bruku? O tem nie należy, o tem nie wypada. Sama sfera tych zjawisk, które „nie nadają się“ do satyry, choć na nią zasługują, jest u nas tak rozległa, że na polu życia pozostanie Stańczykowi zaledwie mały skrawek, objęty klątwą szóstego przykazania. Tu rozpościera się nietykalność finansistów, tam ubezpieczono zagony rozmaitych „Nestorów,“ tam znowu święte namioty „zacnych kapłanów“ itd. Gdzie tu się podziać z dowcipem? Taka zaś rozkosz, jaką mu sprawił balon, nie zdarza się co tydzień.

Ale co to była za rozkosz! Proszę zauważyć. Przez kilka dni *Kuryery* trąbią, że śmiały aeronauta puści się napowietrznym statkiem ze skrzydłami (jak opinia szeptała — do Wiednia). Pp. Krebs i Renard zamówili sobie telegramy z Warszawy i czekali niecierpliwie rezultatu próby kierowania balonem. O godzinie 4½ tłumy zbierają się w Ogrodzie Krasińskich i naokoło niego. Bilety kupuje kilka tysięcy osób. Godzina 5 balon jeszcze niewydęty, 6 — niewydęty, nareszcie noc i rozbiega się wićść śród krzyków i gwizdania, że wydęty będzie dopiero nazajutrz a właściciele zniknęli. Nazajutrz punkt o 3 miał wzlecieć niezawodnie. Naprzód wpuszczono do ogrodu wszystkich, potem wypuszczono wszystkich. Mija godzina 3—balon niewydęty, 4—niewydęty, 5—niewydęty, nareszcie przestaje się wydymać i spada na ziemię. Znowu wrzawa, gwizdanie, krzyki. Czy nie słusznie zauważył z tego powodu *Dziennik warsz.*, że „publiczność warszawska odznacza się zadziwiającą dobrodusznością?“ Ciekawa rzecz, kto też zabrał pieniężne dowody naszej dobroduszności? Czyżby panowie aeronauci za dwudniowe z nas kpiny?

Jedyną pociechą w ogólnem zmartwieniu z powodu braku wody u nas były powtarzane często w prasie dzięki Bogu, że przynajmniej ogień Warszawę oszczędza. I ta wszakże pociecha musi od czasu do czasu ustawać. Przed kilku dniami spaliła się fabryka lamp Podgórskiego. Straty, wynoszące około 90,000 rs., wynikły w znacznej części z braku wody, którą na ulicę Marszałkowską musiano sprowadzać aż z placu św. Aleksandra. Pożar bowiem hulał sobie bez wielkich przeszkód, gdyż pustych kranów nie zdołała zastąpić znana dzielność straży (ani zręczność rzezimieszków, którzy mieli obfity połów). Rozumowania najzasadniejsze odeprzeć można, ale faktów nie. Dopóki „kwestya wodna“ leży na stole dziennikarskim, zepchnąć ją łatwo pierwszym lepszym argumentem; ale gdy zaczną się palić domy i fabryki — rzecz się zmienia, i to bardzo. Bo obok strat, kilkadziesiąt rodzin (robotników z fabryki Podgórskiego) zostaje bez chleba — w czasie, w którym panuje zastój przemysłowy i o pracę walczyć trzeba. Ci biedacy nie nakarmią się artykułami w sprawie kanalizacyi i wodociągów. Co poczną? Pójdą po radę do... *Gazety rzemieślniczej*, która im jej, naturalnie, nie da. Bo łatwiej radzić żonie, którą mąż bije, lub nastręczyć żonę temu, który jej poszukuje (takie dwie skargi odebrała *Gazeta* na początek), niż wskazać komuś, gdzie chleb zakopany.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Strach w prasie. — Ekonomika po której tańczyć można. — Żyd w ogniu. — Kredyt jako talizman. — U Pana Boga za piecem. — Historya typowa. — Brzemię losu i własne. — Spółka piotrkowska. — Ruch w zbrodni. — Miecz Temidy. — Kara śmierci. — Idealny humanizm z rzeczywistym nożem na gardle.—Orkiestra chłopska. — Chęć widowiska. — Legenda o czyhających anglikach i licytacya w Wiśniowcu. — Fatalne łóżko.

W pismach naszych ciągle straszy... konkurencya amerykańska. Każdy niemal numer dzienników i tygodników odbija echa trwogi. Uchwyciliśmy już w labiryncie jakąś niteczkę Aryadny? Trudno. Chaos pojęć jest wielki, a sprawa zawiłą. Szlachcic i nieszlachcic polski uczy się wielu rzeczy wtedy dopiero, gdy go życie położy (już nie na dywanie!) i pletnią z wielu klęsk osmaga. Wtedy zaczyna on krzyczeć z bólu i wyrzucać z ust jakieś niepowiązane wyrazy, które w potrzebie zastępują... system polityczny lub ekonomiczny. Słuchajcie:

„Muzykanci ci nasi narodowi (żydzi lichwiarze) zwykli sztuki swe zaczynać od wesołego *allegro vivace* przy akompaniamencie *graziosamente* uprzejmości i usłużności bez granic, której wpływom bywa nawet pani dobrodziejka ulega, by po pewnych przejściach *staccato*, skończyć koncert swój motywem marsza pogrzebowego *molto dolente*, niestety przy akompaniamencie *con tutta la forza* sądów i komorników...“

Wiecie co to jest?

Jest to ustęp z broszury praktycznego ekonomisty p. M. Łykowskiego p. t. *O znaczeniu i potrzebie banku rolniczego u nas* (w Poznańskiem). Po takiej ekonomice łatwiej tańczyć, niż... ratować się — prawda? Ajak p. Łyskowski w Poznańskiem, tak grają w Królestwie debiutujący gromadą socyologowie prowincyonalni. Większa ich część rozpala stos z najrozmaitszych plag i wrzuca weń — żyda. Żyd jest ową *causa prima* wszystkich nieszczęść. Na tem stanowisku rady długo szukać nie trzeba. Zawiera się ona w jednym magicznym wyrazie, w odwiecznym talizmanie wiary ziemiańskiej: *kredyt*.

Gdyby tylko był tani kredyt, pokazalibyśmy Ameryce gdzie rośnie... pszenica! A mnie się zdaje: gdyby kredyt nasz stanial do stopy angielskiej, za lat 50 pragnęlibyśmy, ażeby on jeszcze bardziej się zniżył, a za lat 100 wreszcie doszlibyśmy do wniosku, że nasza własność większą i wszystkie jej posłannictwa uratuje tylko... bezprocentowa pożyczka. Czemu? Natura nie dała nam uzdolnień przemysłowych, a los nie rozwinął ich. Zbyt długo „żyliśmy jak u Boga za piecem“—ekonomicznie. „Czterdzieści lat temu — powiada korespondent *Gazety radomskiej* z Piskorowa — było u nas inaczej. Właściciel większej posiadłości żył

sobie, jakby u Pana Boga za piecem: jadł, pił, spał choćby w dzień nawet, polował, albo grał w karty, był zadowolony. Przeciwnie działo się z szaraczkiem, z zaściankowym szlachcicem. Jeżeli zdołał uciułać sobie coś srebrnego grosza do nieodstępnej kalety, szedł do dziedzica, kłaniał się nisko, prosił o wydzierżawienie folwarku; grzebał w roli mozolnie lat kilka lub kilkanaście, aż uzbierał na stare lata kapitalik pewny.“

Za piecem u Boga siedziało nas za dużo. Nic też dziwnego, że gdy piec się zwalił, szukamy—drugiego. Obecny popłoch śród naszych ziemian jest charakterystycznym. Ameryka spada na nich jak jastrząb na stado bezbronnych kuropatw. Siedząc u pana Boga za piecem i zbierając to, co bez żadnego łamania głowy najętemi rękami w ziemię wrzucili, ani przypuszczali, że ten plon może kiedyś nie starczyć na opłacenie Ostendy lub cugowej czwórki. Grady, pożary, nieurodzaje — mieściły się w głowie przezornego obywatela, ale niemożność sprzedania, kiedy ludzie chleb jeść muszą, kiedy Polska jest „spichlerzem Europy“— nigdy! Ta pewność osłabiała energię, nie ciągnęła do dróg nowych. Ziemia matka dobra, przy lada pokrzepieniu nie wyczerpuje się w płodności — więc dopóki jakiś wulkan nie rozedrze jej łona, niema obawy (zdawało się), że kilkudziesięcio lub stuwłókowemi piersiami nie nakarmi swego posiadacza aż do przesytu. Bywało też tak często, jak z owym Piskorowem, którego dzieje opowiada korespondent *Gazety radomskiej*. Leżał w nizinie bez naturalnych spadków. „Skrzeczały żaby, roiły się piskorze w błocie, od pobliskiego lasu rozlegały się na trzęsawiskach zarośla i krzaki, sięgając aż do wrót budowlanych; widok ogólny przedstawiał pustynię. Nieraz wilki rozszarpały źrebaka, pożarły cielę lub owcę w podwórzu; lisy wydusiły gęsi, kaczki, indyki i kury jejmości; płacz był i zgrzytanie zębów. Wtedy strapiony posesor siadał na swoją dryndulkę i drobnymi konikami śpieszył do dziedzica, prosił, płakał, piszczał o rów. Dziedzic uśmiał się dobrodusznie, częstował starką, lub winem. Będzie rów, mosanie, mówił, będzie rów! I na tem się kończyło. Nadeszły lata mokre, posesor zbierał miotłę i kostrzewę; na świąteczny placek kupował ziarno w miasteczku; pływało siano w wodzie, gnił potraw na pokosach, posesor piszczał o rów, a rowu jak nie było, tak nie było. Jakiś dowcipniś przezwał osadę *Pisk-o-rów*, co się do dni naszych utrzymało, ale się nie utrzymał posesor. Wyszedł z kijem i torbą; po nim drugi i trzeci; zmarł dziedzic, a rowu nie było; wegetowała pustynia, przeznaczona na zgubę. Aż naraz zjawia się nowonabywca, spłacił Piskorów gotówką i niebawem począł kopać już niejeden rów, ale w niezliczonych kierunkach głębokie rowy. Patrzyli zdumieni sąsiedzi, co z tego będzie; i oto na trzęsawiskach świeci zdaleka czysta jak lustro sadzawka, wpuszczona w ogród, zarysowany szeroko, cała zaś przestrzeń jego zniwelowana do gruntu. Każde drzewko, sadzone ręką samego dziedzica, ma przed sobą regulówkę, prowadzone jest starannie, wygląda powabnie dla oka. Dziś już są okazy najwyborniejszych owoców i na wystawach otrzymują medale. Nieprzeliczonymi gatunkami kwiatów jaśnieją rabaty, róże przepyszne zachwycają widza; istne czary dokoła! Las, okopany rowem, u wjazdu zamknięty bramą, ma pozór pięknego parku; zabudowania gospodarskie murowane, dostatnie; mieszkania dla sług i oficyalistów obszerne i wygodne. Najmniej pokaźnym jest dom samego właściciela, przerobiony z dawnego folwarku; u żadnego okna niema okiennic, najlżejszego znaku ubezpieczenia, a mimo to, nie było wypadku śmierci.“

I ręczymy, że ten dziwak, na którego ze „zdumieniem“ patrzyli sąsiedzi, gdy kopał rowy, i który w swym majątku ma „najmniej pokaźny“ dom własny, stanie śmiało do walki z konkurencyą amerykańską i nie da się jej utłuc w moździerzu. Iluż jest takich? Oby przy liczeniu każdemu palcowi u rąk i nóg dostał się jeden! W każdym razie do większości dumny yankee może zawołać: dajcie pokój gospodarstwu i przypatrujcie się, jak wam wąsy rosną — my was wyręczymy!

Na plecach swoich każdy człowiek dźwiga dużo brzemion, które na niego los zwalił, ale nosi i takie, które sam sobie włożył. Nasi ziemianie są ofiarami losu, ale także własnej chęci do... mieszkania u pana Boga za piecem.

Z za tego pieca usiłują wyjść piotrkowscy. Jak donosiliśmy — założyli oni spółkę. Oprócz zabezpieczeń rolnych będzie ona miała na celu ustanawianie agentów dla bezpośredniego zbytu konsumentom produktów rolnych. Zarząd powierzono w ręce pp. R. Podczaskiego, Z. Płoszczyńskiego i J. Jeziorańskiego. Na koszta agentur i administracyi spólnicy składać będą corocznie po rs. 25 i 50 (stosownie do rozległości posiadanej ziemi ornej), a nadto 1% od każdej tranzakcyi, odpowiedzialni zaś są tylko do wysokości swych udziałów. To podstawy, których tu nie wypełniamy powtórzeniem szczegółów umowy, tem bardziej, że kto zechce pójść za tym przykładem, łatwo go znajdzie. Szybko gasnące porywy solidarności ziemiańskiej lat ostatnich pozostawiły przestrogę, ażeby im zbyt nie ufać. Ale cóś wart sam ruch w sferze, która dotąd albo oczekiwała jutra zazałożonemi rękami, albo się kazała ratować rządcom i ekonomom, a w nagłej potrzebie— lichwiarzom.

Inny ruch, od lat kilku poczęty, rozwija się potężniej i nie zapowiada wcale omdlenia. Mówię o rozbojach, nad któremi roztaczają swe skrzydła... długie noce. Doprawdy trudno się dziwić coraz głośniejszemu żądaniu, ażeby sprawiedliwość rdzewiejący w pochwie miecz swój wyjęła i wyostrzyła. Prowincya na seryo domaga się kary śmierci, której kodeks nasz do zwyczajnych zbrodni nie stosuje. Holtzendorff, Berner, Platzmann i inni przeciwnicy tego środka, dowiedziawszy się o tem, załamaliby ręce, ale każdy (zamożniejszy) mieszkaniec prowincyi może, jeśli nie ma humoru w strachu, powtórzyć słowa Alfonsa Karra: „I owszem zgodzę się na zniesienie kary śmierci, ale niech początek zrobią... panowie zbójcy.“ Gdyby dotąd nie była wątpliwą kwestya, czy szubienica istotnie najsilniej odstrasza ludzi od zbrodni i zmniejsza liczbę przestępstw, z całą czcią dla determinizmu i nieodpowiedzialności *psychologicznej*, podalibyśmy Temidzie stryczek dla wywieszania tych potworów moralnych, które już tyle rodzin okryły żałobą lub tylu wymordowały ofiar. Przecież to jest stan zupełnej dziczyzny! W ostatnim akcie tego rodzaju dramatów, gdy zabitych mogiła okryje a zabójcy usiądą na ławie sądowej, ogarnia nas zwykle miłosierdzie dla ostatnich, które ledwie może się pogodzić z kilkunastu latami ciężkich robót; ale przeniesiemy się na stronę ofiar i ich rodzin, zmierzmy ich boleść, przywołajmy sobie na myśl krwawe widma wystrzelanych i wyrżniętych, a cofniemy nasze współczucie, zbrodniarzom rozdawane. W każdym razie sprawiedliwość winna zaciążyć nad nimi większą niż dotąd grozą, bo nasz idealny humanizm ma rzeczywisty nóż na gardle.

Tygodnik powszechny pokazał swym czytelnikom w obrazku orkiestrę chłopską, zebraną i wyuczoną w Starym Zamościu przez p. Namysłowskiego. Wykształcić do zbiorowej gry kilkudziesięciu chłopków — praca niełada, a widok nader przyjemny. Orkiestra ta występowała w Lublinie, jak słychać, znalazła naśladownictwo w innych okolicach kraju i podobno Warszawa ma być uraczona takim popisem. Nieroztropny to zamiar. Niedługo bowiem wykrzywimy dobry pomysł i owi chłopi, zasmakowawszy w wielkomiejskich powodzeniach, puszczą się na cygańską wędrówkę ze szkodą swych gospodarstw i okolicy, która powinna zamknąć w sobie ich sztukę. Po artystach znakomitych zachwycać się talentami tej gromadki nie będziemy, lecz bawić się nią, jak końmi w cyrku, które tańczą walca, lub tresowanymi pudlami. Szkoda na taki użytek tych ludzi!

Już nie szkoda pamiątek po Wiśniowieckich, gdyż do licytacyi na nie w Wiśniowcu stanęli prawie sami polacy. W naszej prasie brzmi nigdy nieprzerywany alarm, ostrzegający „miłośników rzeczy ojczystych“ przed anglikami i niemcami, którzy ciągle czatują na nasze skarby archeologiczne, wpadają niespodziewanie, płacą za naczynia z czasów Rzepichy jak za zwykłe garnki, i uciekają z niemi. Po największej części jest w tem dzwonieniu dużo reporterskiej zapalczywości. Dowodem właśnie licytacya w Wiśniowcu, której mityczni „anglicy“ nie zaleli. Oto doniesienie *Kuryera warsz.*: „Ceny wogóle są nader niskie. Meble stare sprzedane zostały za bajecznie niską cenę 4500 rs. Za łóżko np. St. Augusta dają tylko rs. 50, podczas gdy właściciel żąda 150.“ Co prawda, ja bym sobie łóżka po St. Auguście nie kupił, a przynajmniej na tak szczęśliwem i tak miłemi wspomnieniami otoczonem łóżku sypiać bym nie chciał.

A. C.

Kozienice. Spaliła się (17 września) wieś Zawady, licząca 40 domów, wraz ze wszystkimi zbiorami. W ogniu zginął 6-letni chłopiec Józef Czaj. Straty ogółem około 50,000 rs. Mieszkańcy pozostają bez chleba i dachu. Również do szczętu spłonęła wieś Goździków (pow. opoczyński), której mieszkańcy uratowali zaledwie nieco inwentarza. Czterysta osób wpadło w nędzę. *Gazeta radomska* zbiera na biedaków składkę.

Wołkowysk. Ważną uroczystością —jak donoszą *Nowosti* — było przybycie tu wydziału sądu okręgowego dla rozstrzygania spraw z sądem przysięgłych. Między innemi rozpatrzono (bez przysięgłych) winę szeregowca Kargajły, który uczył dzieci po rosyjsku i po polsku, ukarany został grzywną 25 rs.

Kraśnik. Mordercy Ferenzewicza w Lutem zostali wykryci. Są nimi miejscowi i okoliczni włościanie: Traczyk, Rybak, Krzewiński, Jaszyna i Szyszka. Wyśledzony i zaaresztowany przez strażnika ziemskiego Traczyk dwu wspólników nie znał i tych dotąd nie schwytano.

Aleksandrów pograniczny. Ludność tutejsza wystąpiła do właściwej władzy z prośbą o uznanie Aleksandrowa osadą lub miastem. Pragnie ona bowiem uczestniczyć w zebraniach gminnych, które się odbywają bez jej udziału.

Gdzieś, między Nowym Dworem a Ciechanowem, skradziono z posyłki pocztowej 10,000 rs.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 16 października.

Mowa Franciszka Józefa w sejmie węgierskim, a raczej wysnuty z niej wniosek (o którym wspominaliśmy w numerze poprzednim), rozpłynął się goryczą w ustach *N. Wremieni*. Tem mniej dziennikowi petersburskiemu mógł się podobać projekt adresu Izby deputowanych do cesarza, naznaczony widoczną tendencyą. Ów bowiem adres ma zawierać głębokie „zaufanie“ do rządu, że *„podwójne* przymierze (z Niemcami) nie uległo *żadnym* zmianom ani co do swego *zakresu*, ani co do swej treści.“ Przyznać trzeba, że to "zaufanie" jest manifestacyą nieprzyjaźni zbyt wyraźną. To też *N. Wremia* powiada: „Wybryk redaktorów peszteńskiego adresu jest bezce-

lowy i śmieszny. Na politykę centralnych rządów cesarstwa nie będzie on, rozumie się, miał żadnego wpływu, ale tylko bez żadnego pożytku raz jeszcze zaznaczy nieprzejednaną nienawiść madziarów względem Rosyi. Nas ten wybryk ani ziębi, ani grzeje, ale hr. Kalnokego i p. Kolomana Tiszę może postawić w dość fałszywej pozycyi.“

Pozostawmy te kłopoty.

Energicznie zrzuca je z siebie Francya w Chinach, której przy tym ryzykownym dyabełku dopisuje karta. Zaledwie na jej twarzy osiadła radość z powodu zwycięstwa pod Kep (8 b. m.) w Tonkinie i zajęcie fortu na Formozie, aż tu znowu telegraf donosi:

Pułkownik Donier, po świetnie przeprowadzonym ataku, opanował w dniu 10 b. m. pozycyę, górującą nad fortecą tonkińską Czeu, która służyła za punkt oparcia dla wielkiego obwarowanego obozu. W dniu następnym chińczycy probowali przejść do akcyi zaczepnej, lecz zostali odparci ku Lang-Sonowi, straciwszy 3000 ludzi, w tej liczbie jednego generała. Straty francuzów wynoszą: 20 poległych, 90 rannych.

Izby francuskie już (12 b. m.) zebrały się dla obradowania nad budżetem i reformą wyborczą dla senatu, którego trzecia część ma być według niej odnowioną w styczniu. Ale nad wszystkiemi sprawami panować będzie wojna chińska, której ostatnie stadya ułatwiły Ferremu spowiedź przed Izbą. Spowiedź tę utrudnił nieco pobyt Herberta Bismarka w Paryżu. Francuzi bowiem ciągnęliby chętnie korzyści z przyjaźni Niemiec, byle im tylko nie nastręczał się na oczy nawet cień lub podobizna strasznego kanclerza.

Dziennikarska walka Niemiec z Anglią wpadła na przysłowie o kotle i garnku. *Times*, opłakując los duńczyków szlezwicko-holsztyńskich, napomknął, że dla ulżenia ich losu przydałaby się interwencya zagraniczna. Nie przyganiaj kotle — odparła *Nordd. Allg. Zeitung* — bo smolisz... Irlandyą. Uwaga słuszna, ale charakterystyczną jest szczerość tego sporu, prowadzonego przez *ambo meliores*.

Więc konferencya w sprawie Konga ma się zebrać, ale kiedy i gdzie—nie wiadomo. Ale wiadomo, że ks. Bismark wybrał już stołek, który ma podstawić Anglii.

Poseł Romańczuk postawił w sejmie lwowskim wniosek zaprowadzenia w szkołach obowiązkowej nauki języka rusińskiego. Jednocześnie — jak zapewnia *Polit. Corresp.* — Wojciech Dzieduszycki, który tę samą myśl podniósł w swej mowie stanisławowskiej, oddał projekt pod rozwagę klubom sejmowym. Środek wyraził się przychylnie, prawica zaprotestowała. W innych grupach zdania są podzielone. Prawdopodobnie rozumny ten pomysł rozbije się o głowy... twarde.

Klub posłów większej własności w sejmie czeskim oświadczył się za wnioskiem Kwiczały z pewnemi zmianami. Jednocześnie uchwalił zaprowadzenie obowiązkowej nauki obu języków w szkołach średnich.

Lwów. Namiestnik Zaleski oświadczył w komisyi sejmowej, że rząd nie dopuści rewizyi statutu kolei państwowych, żądanej przez wniosek Hausnera.

Peszt. Nagły spadek cen zboża wywołuje niewypłacalność podatkową między ziemianinami.

GŁOSY PISM.

B. Prus, zastanawiając się w swej „Kronice“ (*Kur. warsz.*) nad rozmaitymi zmianami postępowania „bez ceremonii,“ umieszcza na końcu swej panoramy taki obrazek:

„Schodzi się w Petersburgu, w restauracyi Borela, dwóch chorwatów, jeden małorus, kilku polaków i kilku rosyan. Jedzą razem obiad, zapewniają się nawzajem o życzliwości i mówią, że wszystkie plemiona słowiańskie mogłyby równie życzliwie spotykać się ze sobą, gdyby każde z nich nie przeszkadzało innym — być sobą.

Tacy spokojni biesiadnicy zasługują przedewszystkiem na pochwałę, nigdy zaś na naganę.

Ale gdzie zaś. Właśnie ta niewinna uczta wywołała burzę w dziennikach wiedeńskich, petersburskich i galicyjskich. I jak tamci zgromadzili się przy jednym stole w imię życzliwości, ci znaleźli się w jednej obławie w imię bezceremonialności.

Naturalnie najwięcej ciosów papierową maczugą dostaje się polakom.

To zapewne z powodu braku materyałów dziennikarskich. Na świecie jest okrutna posucha. Wojny toczą się tak daleko, że niema dokładnych szczegółów, a rezultaty ich są tak małe, że i kłamać nie warto. Cholera gaśnie, trzęsienia ziemi nie udają się, zaćmienie księżyca chybiło. I o czem tu pisać?... Rozumie się, że trzeba chwytać pierwszy lepszy materyał, skłamać intrygę, wycieniować ją denuncyacyami i— artykuł gotowy.

Byle bez ceremonii.“

Plotka. *Kuryer poznański* (jak to dawniej zaznaczyliśmy) puścił powtórzoną przez wszystkie pisma polskie plotkę, że wizytator pruski Stauder, zwiedzając gimnazyum św. Magdaleny, dziwił się małej liczbie uczniów niemieckich, uczestniczących w lekcyach języka polskiego, dla którego objawił szczególne uznanie. Otóż *Nordd. A. Zeitung* oświadcza, że p. Stauder wyraził zdziwienie całkiem przeciwne, mianowicie że tak wielu niemców uczy się po polsku, chwalił zaś dobrą niemczyznę dzieci polskich. Organ kanclerski do sprostowania tego dołącza wniosek, że wykład niemiecki jest prawdziwem dobrodziejstwem dla polaków, gdyż nietylko otwiera im podwoje do literatury niemieckiej, ale nawet pomaga ich postępom w... polszczyźnie. Niezależne gazety pruskie przy takich wnioskach p. Pindtera zwykły mówić: „schon etwas eingetroffen“ (już coś przybyło).

Gazeta polska w następujący a dość jednostronny sposób objaśnia cyfry statystyczne Poznańskiego, dotyczące oświaty.

„Skutki prześladowania religijnego uwydatniają się w liczbach chłopców katolickich uczęszczających do szkół wyższych. Podczas kiedy ilość protestanckich uczniów z 70 proc. podniosła się do blisko 74 i żydowskich z blisko 7 proc. do 10, upadła liczba katolickich uczniów z 23 proc. do 16 w ostatnich 22 latach. Tymczasem suma ogólnej ludności katolickiej podnosi się a protestanckiej upada w całych Prusach; przeciwne zachodzą stosunki śród młodzieży jednego i drugiego wyznania w wyższych szkołach.

Liczba ludności protestanckiej w Poznańskiem wynosi 31%, protestanckiej zaś młodzieży w szkołach wyższych blisko 50%; liczba katolickiej ludności przeszło 64%, młodzieży zaś katolickiej niespełna 24%; liczba żydowskiej ludności wynosi 3,3%, młodzieży żydowskiej przeszło 26%. Te cyfry, przedstawiające tak smutny obraz, zbijają zupełnie twierdzenia *Norddeutsche Allg. Ztg.*, której może trzeba jeszcze przypomnieć, że polacy tylko uzdolnioną młodzież oddają do szkół wyższych.“

Journal de St. Petersbourg wystąpił z ostrem napomnieniem przeciwko Szwajcaryi za udzielanie przytułku anarchistom. Pobudkę do tego wystąpienia daje mu niedawny proces w Lozannie.

Jeden z obwinionych należał do policyi pruskiej, a jego zeznania najwięcej się przyczyniły do wykrycia występnych. Pomimo to sąd skazał go na sześciomiesięczne więzienie, wówczas gdy innych znanych anarchistów ukarano zaledwie aresztem trzymiesięcznym.

„Szwajcarskie gazety — powiada *Journal* — tak miejscowe jak i zurychskie, z entuzyazmem przyjęły tę krzyczącą niesprawiedliwość, bynajmniej nie tając pobudek, dla jakich to czynią. Według nich, wyrok powyższy miał odstręczyć rządy państw innych od zapełniania Szwajcaryi szpiegami. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, iż rzemiosło szpiega nie zasługuje nigdy na szacunek, lecz jeśli może ono być usprawiedliwionem, to mianowicie w tych wypadkach, w których chodzi o obronę społeczeństw.“

W końcu *Journal* wyraża nadzieję, że opinia szwajcarska zmieni swój kierunek w ocenianiu tego rodzaju wypadków, jeśli chce, żeby jej naród nie został wyłączonym z grona społeczeństw ucywilizowanych.

Kazans. Wołżs. Wiestnik pisze:

„Chlestakow (bohater *Rewizora* u Gogola) z *Now. Wrem.*, p. Mołczanow, obiegający Rosyę z szybkością butów-samochodów i zalewający korespondencyami gazetę, wielu go przygarnęła, siał waśń między polakami a rosyanami, gdy był w Królestwie Polskiem; siał między żydami a mało-rosyanami, gdy był na Ukrainie; obecnie zjechał do Kazania i pisze o tatarach.“

Tu *Wiestnik* wykazuje zmyślenia p. Mołczanowa, np. że nad Wołgą mieszkają tatarzy, którzy mają po kilka żon i 20 drobnych dzieci itp.

Nowoje Wremia, pędząc siłą nabytego ruchu w „kwestyi polskiej,“ pochwyciło znowu sposobność do wykłócenia się z *Czasem*.

„Po chwilowych błyskach optymizmu — powiada ono — rozczarowanie co do rezultatów zjazdu skierniewickiego objawia się na całej linii dziennikarstwa polskiego. Najważniejszem jego źródłem, według tychże dzienników, jest troskliwość Monarchy, wykazana w chwili odjazdu, o postępy języka rosyjskiego w Królestwie i łaskawe wyróżnienie, zwrócone ku kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego Apuchtinowi, który, jak wiadomo, dla zagranicznego świata polskiego jest czemś w rodzaju strasznej zmory.

Zgodnie też z tem np. *Gazeta narodowa* w wyrazach pełnych zjadliwości atakuje „pewnych pochlebców,“ dostrzeżonych przez nią w szeregach szlachty polskiej, którzy wspólnie z arystokracyą przypomnieli sobie szlaki Targowicy (coś nakształt Canossy — z punktu widzenia polskiego), a to dlatego tylko, iż „wszyscy oni rozumieją po rosyjsku, a wielu włada tym językiem dobrze“ —jak się wyraziła jedna z deputacyj. Mamy nadzieję, iż tego rodzaju „przestępstw“ ze strony spokojnych obywateli Królestwa przeciwko wojującej polszczyznie będzie coraz więcej, i więcej będą się one rozpowszechniać.

Powiadamy: wojującej — dlatego, gdyż gruntowna znajomość języka rosyjskiego i władanie nim swobodne przedstawia dla spokojnych mieszkańców Królestwa Polskiego jedynie tylko dogodności, których z powodu próżnych mrzonek wyrzekać się nie należy.“

W dalszym ciągu *N. Wremia* rozbiera wywody *Czasu*, wykazującego antagonizm między władzą zwierzchniczą i administracyą.

„Co za subtelne rozróżnianie wyrazów: „czynnik korony“ od „systemu rządowego:“ czyż pierwszy nie stanowi podstawy drugiego? Czyż można przeciwstawić ideę rosyjskiej narodowości idei rosyjskiego państwa?... W stosunku do obcych narodowości idea narodowa rosyjska posiada tylko charakter obronny.“

Zaznaczywszy, że *Czas* swojem rozumowaniem „steruje ku całkowitej autonomii,“ powiada:

„Przykład Finlandyi, na który lubią powoływać się gazety polskie, żądając zupełnej autonomii, niczego nie dowodzi, gdyż Finlandya leży na dalekich kresach Rosyi i nie stanowi drogi do jej serca.

Inna zupełnie rzecz, nawet Polska etnograficzna—nie mówiąc już nic o prowincyach zachodnich, stawianych częstokroć przez gazety pol-

skie na równi z pierwszą—nawet Polska etnograficzna stanowi geograficznie pierwszy punkt na szerokiej drodze do rosyjskiego państwa.

Oto gdzie leży ważna objektywna trudność kwestyi autonomicznej i niemożebność rozstrzygnięcia jej w duchu twierdzącym.

„Prokrustowe łoże,“ na którem jakoby rozciągniętą jest Polska rosyjska, stanowi tylko efektowny, lecz nieodpowiadający rzeczywistości obraz. Dzisiejsze stanowisko jest jakoby niewłaściwe dla niej, wyrosła ona po nad nie, lecz w ocenieniu takiej miary najlepszym sędzią jest historya, t. z. konieczność historyczna, istotnie okrutna, ale której poddać się trzeba.

Niejedna tylko Polska wyrokiem historyi skazaną została na utratę samodzielności; w około niej znajdują się państwa ze swemi „koronami,“ które jednakże do ostatnich czasów poddane były surowym wymaganiom porządku państwowego w monarchii Habsburgów.“

ROZRUCHY STUDENCKIE W KIJOWIE

(według *Praw. Wiestnika*).

Komisya, składająca się z rektora i niektórych profesorów, postanowiła włączyć do programu uroczystości osobny jeszcze obchód dla studentów. W tym celu, według zaprowadzonego w niektórych uniwersytetach niewłaściwego i szkodliwego zwyczaju, rektor uznał za potrzebne zaprosić do siebie 16 studentów z „towarzystwa pomocy.“ Ponieważ w maju nie było jeszcze na to przeznaczonych funduszów, więc rozprawa ograniczyła się tylko do ogólnych kombinacyj. W czerwcu rektor wyjechał za urlopem i wrócił 29 sierpnia, gdy zapadła już decyzya użycia rs. 4000 na uroczystość. Komisya jubileuszowa uchwaliła potrącić z tej sumy rs. $2\frac{1}{2}$ do 3 tysięcy na urządzenie obchodu studenckiego. Rektor znowu uznał za stosowne wezwać do siebie studentów dla umówienia się co do szczegółów uroczystości. Studenci oświadczyli zupełną gotowość do uczestniczenia w zachodach i przyrzekli, że utrzymają porządek między kolegami oraz zaproponowali zwiększenie liczby gospodarzy do 30-tu lub 35-u osób. Rektor zgodził się na to, a ponieważ nie można było dostać parowca dla przejażdżki Dnieprem, po porozumieniu się ze studentami powziął myśl urządzenia wieczoru literacko - muzykalnego.

14 września studenci - gospodarze zgromadzili się u rektora i zawiadomili go, że koledzy żądają, ażeby im pozwolono wybranych zamianować pełnomocnikami swoimi. Rektor zwrócił uwagę, że fundusze na uroczystość daje rząd; że gospodarzem wieczoru jest zwierzchność uniwersytecka, nie zaś studenci; że zatwierdzenie przez nich pełnomocników nie miałoby żadnej podstawy, a zresztą zatwierdzenie takie nie może mieć zgoła miejsca już dlatego, iż wszelkie studenckie zgromadzenia i wybory są wzbronione surowo. Wszakże rektor dozwolił studentom dołączyć jeszcze kilku gospodarzy do już zamianowanych i ułożyć, poradziwszy się w kółkach prywatnych z kolegami, listę kandydatów.

14 września kurator wrócił z urlopu i otrzymawszy zawiadomienie od rektora o wydanych rozporządzeniach i o nastroju studentów, wyraził obawę, czy też wieczór studencki nie stanie się powodem nieporządków.

15 września rektor zauważył w korytarzach niewielkie, trochę wzburzone grupy studentów. Zapytani o powody odpowiedzieli, że rozprawiają o niektórych szczegółowych kwestyach i że wszystko idzie pomyślnie. Tegoż dnia rektor wezwał do swego mieszkania gospodarzy oraz innych studentów, wybranych przez nich na pomocników. Zgłosiło się osób 12—15. Rektor wyłożył im znaczenie uroczystości i przekładał, ażeby użyli wpływu swego na uspokojenie kolegów i odprowadzenie ich od jakiejkolwiek demonstracyi.

16 września, wszedłszy do uniwersytetu, zauważył dwie grupy studentów i wzburzenie ich, a wkrótce wręczono mu proklamacyę, znalezioną w korytarzu, podniecającą studentów do nieporządków.

Wieczorem tego dnia czterech studentów-gospodarzy znowu było u rektora dla traktowania o dozwoleniu zgromadzenia się. Z tej rozmowy łatwo było wyprowadzić wniosek, że się gotuje cóś zdrożnego i że wyjaśnieniom samych gospodarzy braknie szczerości.

17 września przybywszy zrana do uniwersytetu, rektor znalazł w korytarzach już znaczne grupy studentów, widocznie wzburzonych. Wkrótce też weszło do jego pokoju dwóch studentów-gospodarzy i oznajmiło, że na nich rozgniewani są wszyscy towarzysze, że łają ich, oskarżają i że wobec takiego stanu rzeczy koledzy-gospodarze odmawiają wszelkiego udziału w urządzaniu wieczoru.

Dowiedziawszy się o tem od rektora, kurator ogłosił, że uznaje za potrzebne uchylić zamierzony wieczór i że teraz cała uwaga winna być zwróconą na to, ażeby akt jubileuszowy dokonany był w należytym porządku. W tym celu ograniczono liczbę studentów, którzyby mogli uczestniczyć w akcie, do trzystu—wyłącznie z kursów wyższych.

Rektor zawiadomił niektórych dziekanów o wydanym rozkazie; lecz zanim oni zdążyli oznajmić to studentom, tłumy zaczęły szybko się powiększać w korytarzach. Kurator natychmiast przybył do uniwersytetu. Tu prorektor wręczył mu hektografowaną proklamacyę. Treść jej, również jak poprzedniej, podniecająca studentów do gwałtów i cały bieg rzeczy wyraźnie świadczyły, że chodzi nie o wieczór, nie o bilety wejścia, lecz o przeciwdziałanie ogólne rządowemu programowi uroczystości. W proklamacyi była mowa o „prześladowaniu wszystkiego, co zacne,“ o „zamknięciu lepszych czasopism i księgozbiorów,“ o tem, że z tego właśnie powodu ktoś pragnął i spodziewał się „przemówić podczas jubileuszu.“ Wobec tego kurator uznał za konieczne ogłosić, że wszystkie rozdane już bilety wejścia uważać należy za niebyłe i udzielił wstępu tym jedynie studentom, którzy otrzymają osobne na to pozwolenie zwierzchności. Rozkaz ten został oznajmiony nazajutrz, przyczem rektor i prorektor rozdali kilka biletów znanym a prawomyślnym studentom, którzy prosili o przyjęcie ich na akt. Przechodząc korytarzem, kurator zwrócił się do grupy studentów i zapytał ich, czego żądają; ale ci nie odpowiedzieli nic stanowczego. Spotkawszy wielki tłum studentów na ulicy, spytał znowu, po co się zgromadzili i czego sobie życzą. Długo uporczywie milczeli, nareszcie jeden z nich powiedział, że pragnęli dowiedzieć się, czy będą wpuszczeni do sali w dzień jubileuszu, na co kurator odrzekł: „Będziecie wpuszczani, jeżeli sprawowaniem się swojem na to zasłużycie.“ W odpowiedzi na te słowa wielu krzyknęło: „Niczego zgoła nie pragniemy.“

Po odjeździe kuratora tłum wzrastał, hałasował, gwizdał przed wnijściem do uniwersytetu i stał mniej więcej do wpół do trzeciej z południa. Uradzono zniszczyć wszystkie wydane bilety i surowo wzbronić wszystkim studentom ukazywania się na akcie.

Jeszcze w przeddzień kurator zawiadomił władze miejscowe o wrzeniu śród studentów, zaś po tem wszystkiem natychmiast udał się z prośbą o wzmocnienie środków dozoru i ochrony.

18 września wstęp do korytarzy i audytoryów był z rozporządzenia kuratora zamknięty; lecz na jednej ze stron oparkanienia uniwersyteckiego znaleziono nową przylepioną hektografowaną proklamacyę. Studenci zaczęli się gromadzić przed wnijściem do uniwersytetu i, gdy komisarz nakłonił do rozejścia się, przeszli z placu do ogrodu Botanicznego, gdzie odbyła się liczna narada.

19 września podczas nabożeństwa i śniadania policya strzegła wejść do uniwersytetu na wskazanych przez rektora stanowiskach; lecz na ulicy wprost gmachu gimnazyum I-go (gdzie się znajduje mieszkanie kuratora) zgromadził się tłum studentów i ciekawych. W tłumie rozlegał się okrzyk, że „dzisiaj nie nasz dzień, a jutro zamanifestujemy się.“

20 września cały program aktu jubileuszowego był dokonany zupełnie pomyślnie i w gmachu uniwersytetu porządek nie został zakłócony; lecz na ulicy koło gimnazyum I-go zgromadził się znaczny tłum studentów i ciekawych, przyczem niektóre przejeżdżające a wysoko stojące osoby narażone były na dość mocne gwizdanie i wymyślanie, a nawet ciskano kamienie, jabłka i polana. W czasie aktu burzliwy tłum chodził po ulicach z krzykiem i hałasem, śpiewał: „Anioł Pański,“ „Wieczne odpocznienie,“ a potem jakąś pieśń na melodyę hymnu narodowego. Przechodząc ulicami, tłum stopniowo wzrastał; do niego dołączył się motłoch, również wiele kobiet młodych, prawdopodobnie słuchaczek kursów wyższych żeńskich. Tłum zatrzymał się przed łańcuchem konnej i pieszej straży, ochraniającej wstęp do uniwersytetu, między sądem wojskowo - okręgowym a gmachem gimnazyum I-go. Za poradą władz miejscowych, rektor przyspieszył zakończenie aktu. Kurator, rektor i prorektor też pospieszyli z odjazdem wraz z publicznością, i to ulicą, znajdującą się z przeciwnej strony od miejsca, gdzie stał tłum.

Po akcie koło wpół do szóstej zgromadzili się u rektora na obiedzie niektórzy z deputatów i profesorów. Około wpół do ósmej dał się słyszeć zrazu daleki i niedokładny hałas i gwizdanie, a potem kroki wielkiego tłumu. Sypnęły się do okien mieszkania rektora kamienie zrazu drobne, a potem grubsze; pociski zaczęły się zwiększać, przyczem niektóre kamienie były tak duże, że przebijały drewniane okienice, tłukły szkła w oknach i wpadały do samych pokojów, a kawałki szkła dolatywały do przeciwległej ściany. Kawałki te podrapały twarz i ręce profesorowi Subbotinowi i jednemu ze służących. Wobec coraz wzrastającego rozwścieczenia tłumu, przelęknieni gospodarstwo i goście nie wiedzieli, gdzie szukać mają pomocy, a nieletnie córki rektora dostały spazmów.

Pogrom dokonany został bez przeszkód, albowiem stójkowy, umieszczony przed mieszkaniem rektora dla dozoru, był usunięty przez tłum i zdołał ledwie naokoło dojść do cyrkułu łybedzkiego, gdzie znajdowało się w pogotowiu konnych 60 kozaków. Ci przybyli, gdy pogrom był już skończony i tłum się rozchodził. Na miejscu wypadku nikt zatrzymanym nie został.

Po rozważeniu wyszczególnionych faktów, niepodobna przecie nie przyjść do wniosku, że do niezadowoleń, wrzenia, nieporządków i w końcu gwałtów studenckich nie dało najmniejszego powodu żadne z rozporządzeń zwierzchności uniwersyteckiej. Nietylko studentów nie krępowano, ale na nieszczęście czynione były nawet zbyteczne próby dogodzenia im.

Ażeby oczyścić uniwersytet św. Włodzimierza ze szkodliwych żywiołów, również jak z wykonawców rozkazów różnych agitatorów i podżegaczy, uchwalono:

1) Wykład prelekcyj i zajęcia naukowe zawiesić do 13 stycznia 1885.

2) Wszystkich studentów uniwersytetu wydalić i zwrócić im dokumenty ze wzbronieniem wstępu wydalonym do innych uniwersytetów.

3) Z dniem 13 grudnia r. 1884 zawiązać komisyę (przewodniczyć jej ma kurator) z rektora, dziekanów i wybranych przez kuratora profesorów do odbierania podań od tych osób, które zechcą nanowo wstąpić do uniwersytetu. Komisya będzie miała za obowiązek gromadzić jak najdokładniejsze informacye i zaszczycać przyjęciem te jedynie osoby, których prawomyślność nie będzie ulegała żadnej wątpliwości.

4) Przyjętym na nowo w poczet studentów półrocza od sierpnia roku 1884 do 13 (1) stycznia 1885 nie wliczać do ustanowionej dla przejścia kursu uniwersyteckiego ilości półroczy.

Uwaga. Co do studentów, którzy już kursa ukończyli, lecz jeszcze nie złożyli ostatecznie egzaminów, będzie osobne rozporządzenie.

PROCES DEJCZA.

(Sprawozdanie *Dniew. Warsz.*).

W przeszłym numerze *Prawdy* podaliśmy wyrok sądu wojennego odeskiego, skazujący niejakiego Dejcza na 20 lat ciężkich robót w kopalniach za przestępstwo polityczne. Otóż *Dziennik Warsz.* wyjaśnia istotę tego przestępstwa.

Leon, syn Hersza Dejcza (Deutsch), szeregowiec 130 chersońskiego pułku piechoty, oskarżony został o usiłowanie zabicia obywatela honorowego Mikołaja Goronowicza. Napadł on go z towarzyszem (jeszcze r. 1876) na odludnym placu Odessy, uderzył kastetem i oblał kwasem siarczanym, pozostawiwszy przy nieżywym kartkę ze słowami: „Taki jest los donosicieli." Tymczasem Goronowicz znaleziony i przywieziony do biura policyi odżył. W r. 1879 stawał w sądzie jako świadek—z powodu kalectwa zamaskowany. Ci, co mieli sposobność go widzieć bez maski, zobaczyli głowę zwęglonego trupa. Deutsch przed sądem przyznał się do winy i objaśnił, że pozostawiona kartka dostatecznie tłomaczy powód jego zbrodni. Nadmienił przytem, iż zadał Goronowiczowi kilka ran kastetem, a następnie dopiero, gdy sądził, że G. już nie żyje, oblał jego głowę kwasem siarczanym, dla zniszczenia twarzy i utrudnienia śledztwa. Wówczas G. wydał krzyk, który tak przeraził Dejcza, że nie pomyślał o dobiciu go, co mógłby był z łatwością uczynić, miał bowiem przy sobie ostry sztylet. Oskarżony dodał, iż nie chce przez to zeznanie zmniejszyć swojej winy, pragnie tylko powiedzieć zupełną prawdę.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Projekt nowej ustawy handlowej — według *Nowości*—został już wykończonym i jest obecnie rozpatrywanym przez ministeryum sprawiedliwości. Dla zapobieżenia fikcyjnemu przelewaniu praw własności i ukrywaniu majątku przed wierzycielami, wprowadza on nieistniejący dotąd spis firm handlowych, na mocy którego we wszystkich miastach państwa, w sądach i u rejentów, istnieć mają specyalne księgi, do których będą wpisywane nazwiska osób, reprezentujących firmy handlowe. Żadne przejście firmy z jednych rąk w drugie nie będzie uważane za prawomocne, jeśli nie zostanie w swoim czasie do księgi wniesionem.

Koleje nasze uczyniły już wszystko, co tylko jazdę niemi uczynić może drogą i niewygodną. Według nowej ustawy, bilet nabyty służyć będzie na wszystkie pociągi danej kategoryi przez czas jednej doby, jeżeli dystans wynosi mniej niż 100 wiorst; do stacyj, oddalonych na 100 do 200 wiorst, zachowa swą ważność przez dni dwa; przy odległościach od 200 do 300 —dni trzy itd.

Uwolnienie od obowiązków otrzymał dyrektor gimnazyum realnego w Warszawie—Bahr.

Uniwersytet. Niektóre przepisy nowej reformy mają być zastosowane również do uniwersytetu warszawskiego, który wszakże zachowa swe urządzenie odrębne.

Nowe zakłady dobroczynne dla głuchoniemych i ociemniałych mają powstać niebawem, gdyż dyrektor Instytutu już otrzymał decyzyę ministeryalną. Mają one się składać z przytułku dla dziewcząt oraz szkoły rolniczej.

Zastój w handlu ogólnym rozpostarł się i na księgarstwo, które go odczuwa dotkliwie. Jedna z księgarń (Idzikowskiego) pod tym ciężarem upadła.

Teatr warszawski nie ma nareszcie długów, które zepchnął zasiłkiem rządowym. Na przyłość będzie on żyć z własnej wyłącznie kieszeni. Tak donosi *Echo muzyczne.*

Sądy. W krakowskim sądzie o zamordowanie dziewczyny chrześciańskiej dla wyjęcia z niej żydowskiego płodu oskarżeni: Gitla i Mojżesz Ritterowie oraz Marceli Stochliński uznani zostali winnymi i skazani na karę śmierci.

Fabrykę fałszywych paszportów odkryto w Moskwie. Przemysłowiec, dymis. podpułkownik Sołomka uwięziony.

Międzynarodowy kongres literacki w Brukseli uchwalił, że... własność autorska powinna być ubezpieczoną prawnie, nawet w przekładach i przeróbkach. Już nie probujemy zliczyć, po raz który ogłoszony został światu ten wyrok—bezskutecznie.

Sprostowanie. W poprzednim nrze *Prawdy* donieśliśmy, że p. Lenval (dawn. Loewenstein), prokurent firmy Kronenberga, czcząc pamięć zmarłego syna, ofiarował 60,000 rs. na wybudowanie domu dla sierot po robotnikach fabrycznych Warszawy, jego zaś brat na tenże cel rs. 30,000. Otóż ofiara ta nastąpiła w stosunku odwrotnym, gdyż 60,000 są darem wspólnika firmy „Lilpop, Rau, Loewenstein," a 30,000 rs. jego brata, prokurenta u Kronenberga. Nadto ów dom ma być przeznaczony wyłącznie dla *chłopców* po robotnikach.

Skromność. P. M. Gawalewicz sprawozdanie z przedstawienia swej *Barkaroli* napisał w *Tygodniku powszechnym* sam. Autorską swą skromność posunął przytem tak dalece, że przyznał sobie jedynie „talent," który zamiast „całej ręki"—„ośmielił się pokazać tylko jeden palec." Czekamy teraz na całą rękę.

Nabytek dla poezyi. *Gazeta lubelska* przytacza „nieznany" wiersz Andrzeja Koźmiana (syna Kajetana) na cześć Władysł. Taczanowskiego, przeczytany kiedyś w kółku rodzinnem. W wierszu tym zadaje poeta Taczanowskiemu kilka pytań, mianowicie „które z dwojga woli zwierzę: dziewicę złotowłosą, czy... sowę, dobrą żonę, czy... pliszkę, poezyę, czy... jastrzębia, dostatki, czy... dzierlatki, cnotę, czy... paszkota—kończy zaś życzeniem:

Wśród owadów czem jest Waga,
Tem bądź zawsze *pośród ptaków*.

Rozbicki tak samo potrafił, a jednak się z niego śmieją.

Statystyka. Według wykazów kancelaryj rządów gubernialnych, od 13 lipca r. z. do tejże daty r. b. w dziesięciu guberniach Królestwa przybyło 76 rodzin kolonistów niemieckich a ubyło *102.* Przecie coś na tej giełdzie zarobiliśmy! Mamy mniej tych, o których rodak, redaktor *Nat. Zeitung*, świeżo napisał: niemców tutejszych nie obchodzi nic; ani polacy, ani rosyanie, tylko własny interes! Nic a nic to wszakże nie przeszkadza okolicom Chełma skarżyć się na wzmocniony napływ niemców.

Bibliografia polska. K. Estreicher *Bibliografia polska* XIX A. tom X. Spis chronologiczny, Kraków.

— M. Pawlikowski *Z wystawy towarzystwa przyjaciół szt. pięknych w Krakowie.*

— Dr Antoni J. *Opowiadania*, serya czwarta, tomów dwa. Kraków i Warszawa, Gebethner i Wolff.

— P. Jaxa Bykowski *Dwór królewski w Grodnie*, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. Prochaska *Szkice historyczne* z XV w., Kraków i Warszawa, Gebethner i Wolff.

— S. Zalewski *Kilka uwag prawnika o procesie Kraszewskiego*, Warszawa.

Epilog sprawy balonowej — jak donosi *G. polska* — przedstawia ostrą sprzeczność z nadzieją swobodnego bujania w przestworzach. „Zabezpieczoną została" bowiem osoba pełnomocnika przedsiębiorcy za to, że przyczynił się do „naruszenia spokoju publicznego," balon zaś — najniewinniejszy — pokutuje również w cyrkule.

Makart uczczony został po śmierci niezwykle. Oprócz uroczystego pogrzebu, rada miejska Wiednia postanowiła zakupić jego dom i zachować jako drogą pamiątkę.

Korzystny przemysł. Arcybiskup z Reims ochrzcił z wielką uroczystością żyda włoskiego, niejakiego Bozeachi, który—jak się później okazało—cztery razy już poprzednio poddał się tej operacyi, dla zyskania kosztownych podarków.

J. Strauss, twórca słynnych walców, z powodu 40-letniego jubileuszu otrzymał obywatelstwo honorowe m. Wiednia.

Hadżi-Loja, głośny obrońca niepodległości bośniackiej przeciw austryakom, został wypuszczony z więzienia i ma być skazany na osiedlenie w wiosce arabskiej z dożywotnią pensyą. Więc płacą za takie winy. Postęp!

Matejko otrzymał złoty medal za swój *Hołd pruski* wystawiony w Berlinie.

Cholera w Neapolu znowu się wzmogła.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою, Варшава, 5 Октября 1884 г. Redaktor i Wydawca: dr. fil. A. Świętochowski.